

Nr. 35 Warszawa, 29 sierpnia 1931r. 1zł. 50gr.

BLUSZCZ



E. B.

PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

PRENUMERATA
MIESIĘCZNA
1.50zł.



PŁOMYCZEK

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

PRENUMERATA
MIESIĘCZNA
1.20zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
WARSZAWA 5^{ta} KRZYŻY-
KA 18 KONTOCZEK
PKON^o 6880
OKAZOWE NUMERY
WYSYŁKA SIĘ DARMO

NOWOŚĆ!

Bardzo cenna dla pań
gospodyń

doskonała książka
p. t.

CO MOŻNA ZROBIĆ Z MLEKA

zawierająca wszelkie wskazówki, dotyczące prze-
robu i podawania mleka i wszelkich
jego przetworów.

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd „Bluszcz” — Warszawa, Pl, Zamkowy 9.

Już teraz trzeba myśleć o zapasach na zimę!

Jak je przygotować, nauczą
następujące, doskonale
opracowane książki:

KONFITURY, KOMPOTY
I INNE KONSERWY
OWOCOWE

JARZYNY NA ZIMĘ

POTRAWY
I KONSERWY
Z GRZYBÓW

WINA OWOCOWE

NALEWKI I LIKIERY

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

WYD. „ŻYCIE PRAKTYCZNE“

Zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Warszawa, Pl. Zamkowy 9, oraz we wszystkich księgarniach.

MODY I ROBOTY

573. Kostjum z lekkiej zielonej wle-
ny z białem. Pasek
wiązany z boku.



574. Kostjum z gra-
natowej wle-
ny, ozdobiony kiesz-
kami. Krawat z
breitszwancy, pa-
sek czarny lakie-
rowany.



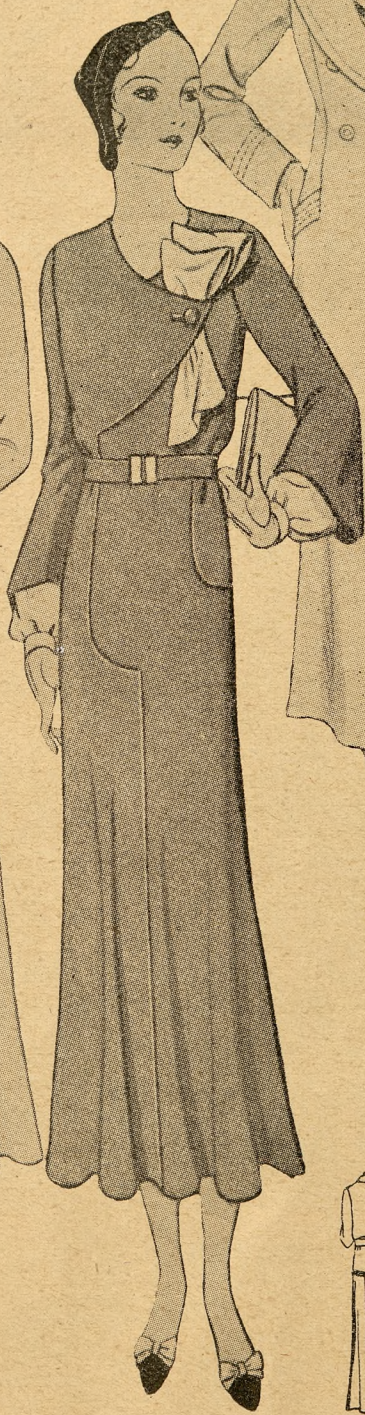


525

525. Duży kapelusz z brązowego filcu.
526. Suknia z wełny w kolorze kwiatu lipowego. Kołnier i mankiety z białego krepdeszynu.



526



527



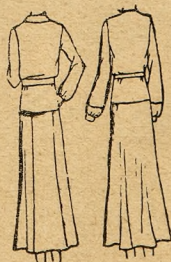
528



529



580



577. Suknia z brązowego meletoru, przybrana kokardą i rękawami z blade-różowej zorzetki. Pasek spięty jasną klamrą.

578. Płaszcz podróżny z jasno-piaskowej wełny, lekko wcięty.

579. Płaszcz z popielatej wełny z fantazyjnym kołnierzem i stębnowanymi rękawami.

580. Suknia z ciemno-szarej wełny z białym kołnierzem i mankietami z piki. Żakiet do kolan z tego samego materiału.

581. Kapelusz duży z białego filcu.
582. Suknia z zielonkarwej wełny z długim
żakietem z pelerynką.



581



582

583

584

585

586

585. Płaszcz sportowy piaskowy z fanta-
zyjnymi kieszeniami i kołnierzem.
584. Płaszcz z granatowej wełny, przybra-
ny plisami i stębnowaniem.
585. Żakiecik fantazyjny z kolorowego
aksamitu, spięty na boku. Spódniczka weł-
niana o parę tonów ciemniejsza.
586. Suknia z piaskowej wełny. Żakiecik
z brązowego aksamitu w kształcie pele-
rynki.

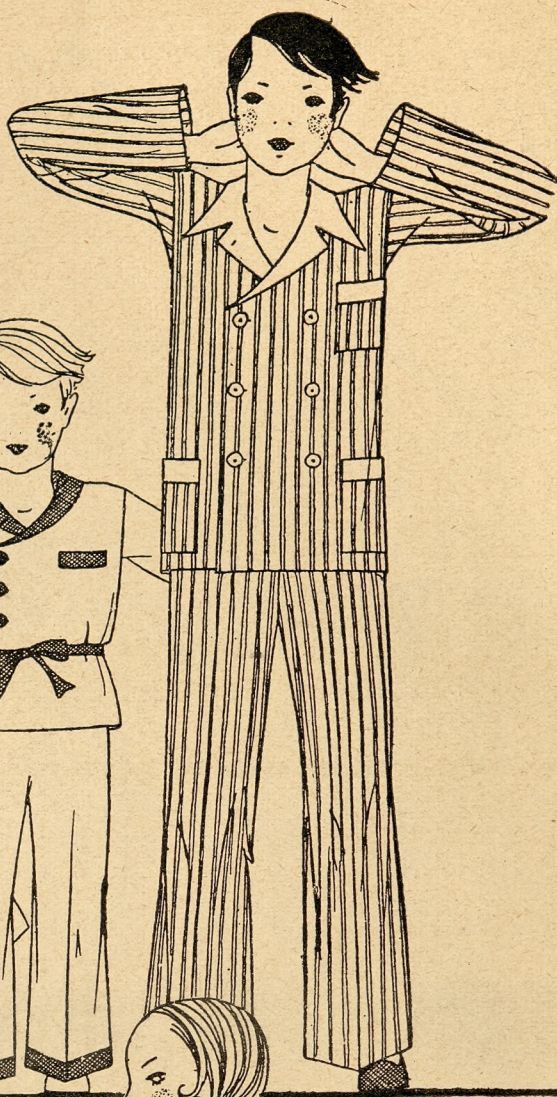
587. Piżama z kretonu w deseń dla 12 letniej panienki.

588. Piżama z satyny niebieskiej z granatowym przybraniem dla 6-letniego chłopczyka.

589. Piżama z płótna w paseczki szaro-lila dla czternastoletniego chłopca.

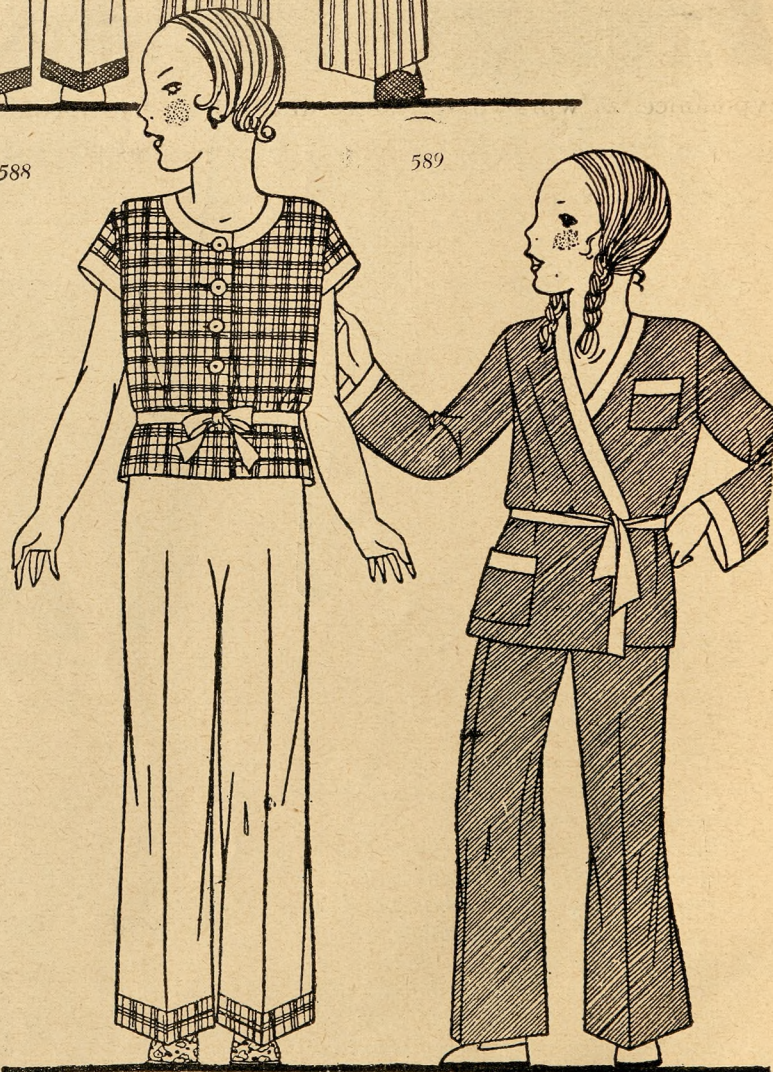
590. Piżama z płótna jedwabnego gładkiego i w kratkę dla 10-letniej panienki.

591. Piżama z niebieskiej flanelki dla 8-letniej dziewczynki.



588

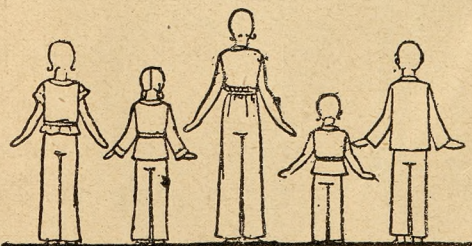
589



587

590

591

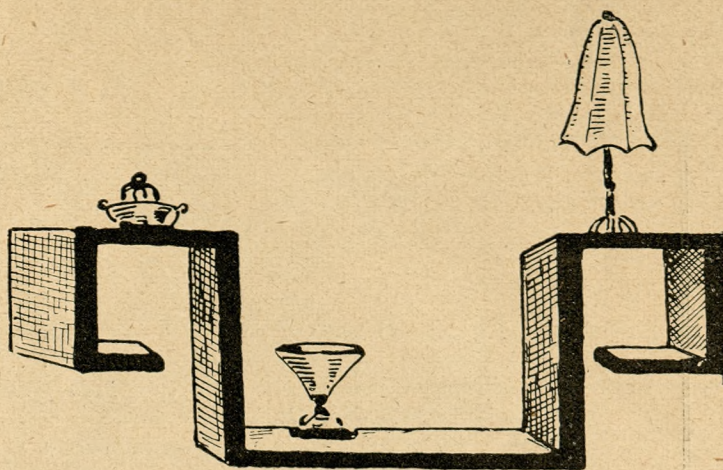


Półki ścienne do małych mieszkań. Drzewo lakierowane lub politurowane.

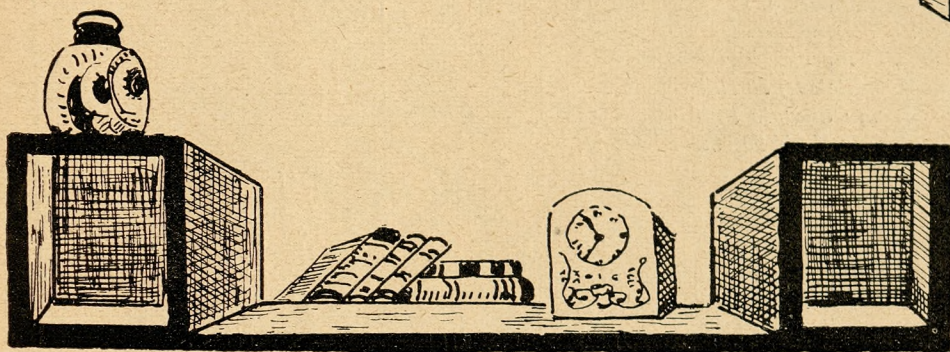
wymiary:

Nr. 1. Długość 20 cm., wysokość szafek 35 cm., szerokość deski 20 cm.

Nr. 2. Długość 80 cm., wysokość środ. półki 20 cm., wysokość bocznych półek 15 cm., dług. środk. półki 40 cm., szerokość deski 17 cm.



Nr. 2.



Nr. 1.

PIERWSZE CHŁODY

Pierwsze chłody spadają zwykle zniemacka i mijają prędko — jak ostrzeżenie. Jak gdyby chciały przypomnieć, że wprawdzie jeszcze długo może być pięknie i ciepło, ale zima przecie nadejść kiedyś musi, więc lepiej o niej pomyśleć zawczasu, żeby nas zastała pod bronią. Do wiosennego okrycia przypinamy kołnierz futrzany, pod jedwabną podszewkę wsuwamy dyskretnie cieką warstwę watoliny. Przy kostjumach trotteur zaczynamy nosić krawat futrzany. Zarejestrowane przez Magdalenę Samozwaniec hasło szykownych warszawianek: — na ramię lis! — staje się aktualniejsze, niż kiedykolwiek.

Bo nawet jeżeli nie jest jeszcze zimno, to taki lis robi nietylko do twarzy i zamożnie, ale i magicznie odświeża kostjum trotteur z przed dwóch lat, cokolwiek sfatygowany. Sam lis może być też cokolwiek sfatygowany. Póki zbyt cynicznie nie świeci łysinami, można go nosić, zachowując nawet jeszcze pozory elegancji. Później dostanie mu się wysłużona emerytura przy jakimś sortie, które najmniej wysłużone i najpuszystsze jego części przyozdobią okazale.

Warto jednak pomyśleć o jakimś płaszczyku praktycznym, ciepłym, nieopatrującym się, takim na szarugę i slotę. Materiał na płaszczyk taki powinno się wybierać tak, jak zacny wikary z Wakefield wybierał żonę, a ona znów materiał na suknię ślubną: — nie dla powierzchni gładkiej i połyskliwej, a dla takich zalet, jak ta, że się będzie dobrze nosić. — Właściwie takby się powinno postępować zawsze, w każdej życiowej sytuacji. Niestety, ach! te zalety powierzchni, wiotkie i nietrwałe, mają jednak tyle nieprzewycięzonego uroku. Dobrze zatem będzie, jeżeli potrafimy im się oprzeć, chociażby od czasu do czasu, chociażby... przy wyborze jesienno-zimowego palta.

Raz wstąpiwszy na drogę praktyczności i rozsądku, nie schodźmy z niej... jeszcze tylko przez chwilę. Precz z jasnemi rękawiczkami, na codzien! Doprawdy to wcale nie takie eleganckie, zważywszy, że zawsze już w drodze powrotnej wyglądają brudno i nieświeżo. Niech żyje bronzowa, glansowana skóra i ciemnoszare renifery do prania. Do częstego chodzenia obuwie na grubej „słoninie“ i angielskim, niskim obcasie. Pończochy, ciemne, fildekosowe. Taka dyskretna, stonowana całość, wystawiona na jesienną slotę, wychodzi z niej zwycięsko, a loczki, fioczki i francuskie obcasiki — nędźnie.

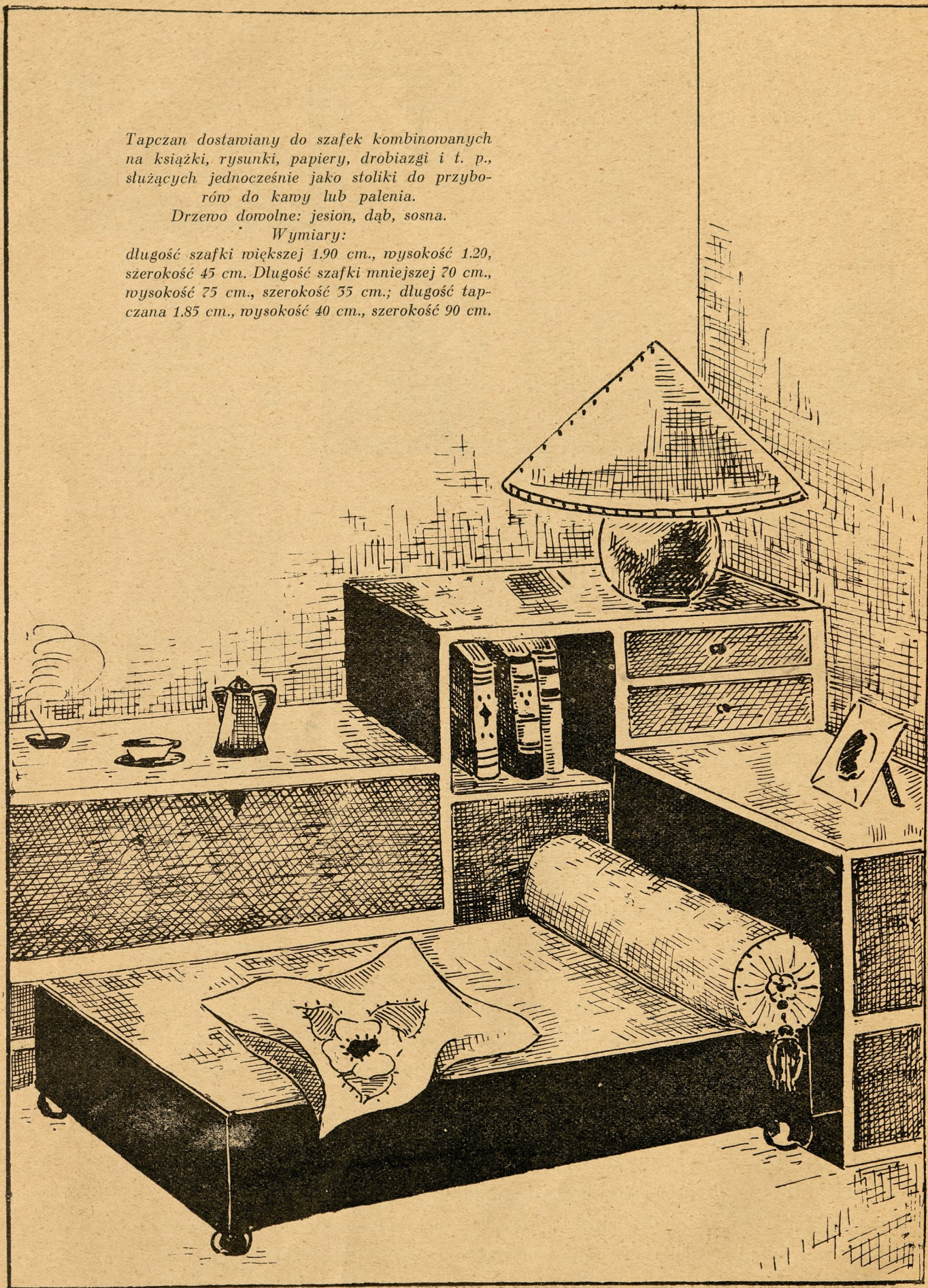
Well.

Tapczan dostawiany do szafek kombinowanych na książki, rysunki, papiery, drobiazgi i t. p. służących jednocześnie jako stoliki do przyborów do kawy lub palenia.

Drzewo dowolne: jesion, dąb, sosna.

Wymiary:

długość szafki większej 1.90 cm., wysokość 1.20, szerokość 45 cm. Długość szafki mniejszej 70 cm., wysokość 75 cm., szerokość 35 cm.; długość tapczana 1.85 cm., wysokość 40 cm., szerokość 90 cm.





złoto-brązowy.



ciemny fiolet



pomarańczowy

biały



jasny fiolet



cytrynowy



592. Środek owalnej poduszki. Tło niebieski aksamit, wykończenie złoto-brązowe.



593. Serwetki — haft na opalu. Wielkość naturalna na arkuszu rozorów.

PLUSZCZ

Spółeczeństwo Literackie Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 29 SIERPNIĄ 1931 ROKU.

NR. 35.

TREŚĆ NUMERU: Rozmowa z rodzicami—*Herminja Naglerowa*. Mała olbrzymka—*Natalja Jastrzębska*. Po-
ezje: „Nasze wędrówki”—*Hanna Mortkowiczówna*. Za białą ścianą (szkie powieściowy)—*Jadwiga Kwieciń-
ska-Korczakowska*. Ci, co wyjechali na srebrne wybrzeże—*Aura Wyleżyńska*. Morze i zboże—*Jadwiga
Kiewnarska*. Cywile i my—*M. Podhorska*. Ze świata sportowego—*W. P.* Polska niezbadana—*Z. R.* Z ksią-
żek—*S. P. O.* Z teatrów—*S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza mównica. Odznaka dla zwykłych
śmiertelniczek—*W. Prażmowska*. Nowoczesne stoły i biurka—*Janina Ginett-Wojnarowiczowa*. Gatunki grzy-
bów i racjonalna ich eksploatacja—*Prof. Feliks Teodorowicz*. Jeszcze o gościnności—*Pani Elżbieta*. Obiady
dla pracującej inteligencji—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”.
Arkusz wzorów.

ROZMOWA Z RODZICAMI

(na początek roku szkolnego)

Według przyjętego zwyczaju, rozpoczynamy rok szkolny (ważniejszy w tej chwili i bardziej aktualny od kalendarzowego) apostrofą do dzieci, młodzieży i rodziców. Ale tak dziś jest, że niewiadomo, do kogo się zwrócić, z kim porozmawiać, kto nas wysłucha cierpliwie. Nikt przecież nie ma czasu, wszyscy zajęci, zalatani, stroskani, wszyscy są jakby spłoszeni tym początkiem roku szkolnego 1931/2.

Ale może właśnie dlatego trzeba coś powiedzieć na ten coroczny temat. Nasza — piszących — cierpliwość musi zastąpić drogę zziąjanym z pośpiechu, stroskanym i bodajże zrozpaczonym rodzicom.

Zacynamy rozmowę, aby usłyszeć stereotypowe dziś narzekanie i musimy przytwierdzić, że jest ciasno, ciężko, że nie można dziś tak samo, jak przed rokiem... Owszem, trzeba się wyrzec wielu rzeczy, musi się nawet o wielu najkonieczniejszych rzeczach nie myśleć. Wyrzeczenie się wywołuje rewolucję psychiczną, niekiedy jednak przemienia się w chroniczne cherłactwo: — w narzekanie.

Wolimy ową „rewolucję”, stan zapalny. DIALOG z „zapaleńcami” jest zazwyczaj bardziej żywy, i w rezultacie okazuje się, że w krzyżowej sztuce argumentów zwycięża przytomność, rozsądek, twarda konieczność. Wzburzone tętno uspokaja się i ciężkie „dziś” daje się udźwignąć. Za chwilę można będzie także pozycję: szkoła — zapisać na liście zwycięstw. Nic przecież nie wolno zmienić w sprawie, która się nazywa: *naszą przyszłością*. Bo można nam wiele zarzucić, ale dzielności nikt nam nie zaprzeczy. Tej właśnie w codziennym życiu, nie koniecznie brawurowej, efektywnej, nadzwyczajnej. Jest to dzielność murowana i nie-

złomna, a znaczy poprostu — wytrwałość. Dzieciom, które w szkole nauczą się wielu „przedmiotów”, rodzice wpoją właśnie wytrwałość. I to zaraz, aktualnie, aby zapobiec niezadowoleniu i rozżaleniom. Rodzice powiedzą dzieciom, że, mimo wszystko, nie jest aż tak źle, skoro mamy dobre szkoły, o które dba państwo, w których nauczyciel jest opiekunem i przyjacielem. Że dzieciom w Polsce nigdy nie będzie się działa krzywda moralna. Czyż to nie jest dość ważne? Czy nie ważniejsze od nowej czapki, mundurka, notesu, piórnika? Trzeba tylko umieć wytłumaczyć tę ważność, zbliżyć ją, przeciwstawić wrodzonemu egoizmowi dziecka. Zrobić z pojęcia przedmiot uczucia — ideę, więc coś żywego, istotnego. Idea posiada wszystkie trzy wymiary, posiada cechy realne, mieści się w ramach państwa. Kiedyś dla ojczyzny-państwa „nie żał było żyć w mędrzy i nie żał umierać”; dziś trzeba to nie inaczej rozumieć. Dzieci uczą się w szkole odmiany czasownika, można i w domu konjugować z nimi czas przyszły, futurum, jako synonim wytrwałości: będziemy.

A teraz przychodzą do głosu chronicznie narzekający. Krzywią się, że karmi się ich abstrakcjami. Tu życie w dół gniecie, ani dać rady, ani o co ręce zaczepić, a ktoś tam piękne słówka drobi, zdańka jedwabne układa. — Na chwilę jesteśmy zażenowani, bo może rzeczywiście nasz optymizm jest nie na czasie. Dzieją się przecież naprawdę złe rzeczy na świecie. Nie jesteśmy głusi — słyszymy, że trzeszczy wielki gmach, czytamy, że bezrobotnych, jak piasku w morzu... Więc może naprawdę nieprzydatne jest to nasze mówienie i pisanie? Jak poradzić, gdy jest już



najgorzej? Najgorzej — wstrząsający superlatyw! Narzekający wypowiadają monotonię te superlatywy, bo stały się już ich powszednim słownictwem. I to jest właśnie zastanawiające, to budzi wątpliwości. Zaczynamy teraz my, vice versa, nie wierzyć ich mowie, aż nazbyt gładkiej i płynnej, zaczynamy podejrzewać, że coś tu nie jest w porządku. I w istocie odkrywamy starą prawdę, że ci, którzy najczęściej narzekają, najmniej mają do tego powodów. Nie trzeba ich posądzać o złą wolę, są to jednak ludzie o woli słabej, ulegający łatwo psychozie, pesymiści, sceptycy. Gdybyż można było oddzielić ich od młodzieży, nie dopuścić ich do wpływu na młode dusze!

I znowu trzeba pomyśleć: mamy dobre szkoły, nauczycieli-opiekunów i przyjaciół, więc czego dom nie potrafi dać dziecku — da mu szkoła. Da mu pogodę, radość, poczucie pewności i ufności. Może właśnie główny nacisk położy szkoła na czas terażniejszy i będzie ćwiczyć dzieci w konjugacji praesens: — jesteśmy! I wtedy stanie się coś „horendalnego“, coś, co pozornie sprzeciwia się etyce pedagogicznej: szkoła wychowa dzieci, przeciwstawiające się rodzicom. Dzieci, które będą myślały i czuły inaczej, niż rodzice. Nie powtórzą posłusznie za ojcem i panią matką: źle, czarno — ale powiedzą: dobrze, biało. — Ha, cóż robić, szanowni rodzice, szkoła „zbuntuje“ wam dzieci, ale zato wychowa zdrowych, dobrze myślących obywateli. Wtedy chyba jedno wam zostanie: pójść za dziećmi, myśleć, jak one, rozchmurzyć czoła — wierzyć!

Nasz optymizm nie jest jednak ślepy. Widzimy przerażeniami oczyma prawdziwą, niekłamana, niezagananą nędzę. Czyż trzeba ją opisać, wymienić, udowodnić cyframi? Sądzę, że i bez tego są nasze serca napęczniałe współczuciem. Wiemy — w tej samej szkole, na tej samej ławce, sąsiad mojego dziecka. Moje ma jednakże całe buciki, książki, śniadanie. To drugie jest nietylko obdarte, ale i głodne. I jakże może być moje dziecko wesołe, kiedy obok, łokieć przy łokciu, to drugie...? Jakże może być moje dobre, kiedy nie będzie wiedziało, że trzeba się podzielić...? Jakże to może być, żeby jakieś dziecko było głodne, marzło, nie mogło się uczyć?

Na nic się nie zda melodramatyczna łza, która „dusi w gardle“. To dobre w kinie, nad rzewną książką. Rzewność życia, film życia wywołać musi inne objawy wzruszeń. Wszystko jedno, czy nazywa się to miłosierdzie, czy filantropja, czy opieka społeczna. Było to, jest i będzie wewnętrzną, nieodpartą potrzebą niesienia pomocy bliźniemu. W całej Polsce, od kresów do kresów, powstać powinny związki rodzicielskie dla niesienia pomocy biednym dzieciom, biednej młodzieży. Niewątpliwie zabiorą się do tego organizacje społeczne, przedewszystkiem kobiece, ale i ci wszyscy, którzy nie należą do organizacji, muszą uczestniczyć w wielkiej akcji, może w tej chwili największej ze wszystkich, wchodzących w zakres społecznej pracy. Nie narzekajmy, nie płaczmy — weźmy

się do roboty! Wszystko tu będzie potrzebne, bo pośpiech i cierpliwość, entuzjazm i wytrwałość, dobre serce i buchalterja, czułość i energja. „Bluszcz“ z radością będzie notował te objawy serca i rozumu.

Z taką to apostrofą zaczynamy dziś rok szkolny. Rozmawialiśmy tylko z rodzicami — nie dlatego, że nie mieliśmy młodemu nic do powiedzenia, ale czuliśmy, że początek roku szkolnego szczególnie trudnym wydawał się dziś rodzicom.

Widzieliśmy, że troska, nieco ściszona, albo przepędzona słońcem w czasie wakacyj, wyściela się znowu długim cieniem na chodnikach miasta. Ludzie wracają do zostawionego wątku, i zdaje się im, że trzeba go snuć dalej w tym samym minorowym nastroju. A tymczasem już się wiele zmieniło na lepsze. Wokół stołu siedzą przecież dzieci zdrowe i opalone — i te, które były na wsi i nad morzem, i te, z kolonij i półkolonij, z obozów, z campingów.

Te dzieci właśnie to wielka zmiana na lepsze! Małe Robinsony z namiotów stały się mniej wymagające, a więcej samodzielne, stały się pogodniejsze. Zmieniło je nietylko powietrze, słońce i woda, ale i dyscyplina, ale i prymitywność letniego bytowania. Niedobrze więc będzie, gdy odrazu skomplikuje się ich pojęcia, wydelikaci ich wymagania życiowe. Trzeba raczej konserwować zalety małych „kolonistów“, harcerzy, „oboziaków“, bo zalety te są dziś bardzo na czasie.

Naprzykład można nie trzymać teraz służącej, to dzieci obsłużą się same tak, jak to robiły tam, „w polu“. Niech tylko rodzice nie mówią: biedactwa, same teraz muszą... Tylko nie robić niepotrzebnych dramatów, a mały czyścibut napewno nie poniesie żadnego szwanku na zdrowiu i na — honorze. Nie zmęczy się przy „samoobsłudze“ więcej, niż na boisku lub na korcie.

Nie należy też zbyt zmieniać „menu“ dzieci, których apetyt objawił się dopiero przy potrawach z kotła, przy kaszach, kluskach i wszelkiego rodzaju „sałamacach“. Czytałyśmy o tem niedawno w doskonałych feljetonach Kuncewiczowej. Może w istocie dla dobra dzieci doszliśmy już do zbyt wymyślnej „strategji“ wychowawczej, a dzieci bronią się przed wykwintem, bronią się podświadomie przed swoim największym wrogiem.

Czyż więc nie zmieniło się na lepsze, skoro konieczność poddała nam metodę wychowawczą rozumną, celową i — oszczędną? Konieczność, przeciw której powstajemy z taką goryczą, okaże się w rezultacie — reformatorką niejednej dziedziny naszego życia. Zrewidujemy niejedno, dostrzegłszy absurdalność przesady.

Proszę się nie przerażać — dzieciom nic nie grozi. Wyrosną z nich zdrowi, dzielni ludzie. Niech tylko rozjaśni się nieco atmosfera domu, zamglona narzekaniem, niech tylko i dorośli ozdrowieją z choroby sceptycyzmu. Zaczyna się nowy rok szkolny — nie, doprawdy, nie jest tak źle!

Herminja Naglerowa.

MAŁA OLBRZYMKĄ

Właściwie mało zajmujemy się angiolką.

Zaznajomiliśmy się znacznie bliżej z psychiką i obyczajami kobiet francuskich i niemieckich, dużo słyszymy o amerykankach, znamy dość dobrze z „sąsiedztwa“ rosjanki, niewiele tajników przedstawiają dla nas wybuchowe, szersze i prostsze z natury charaktery kobiet ras południowych, Włoch i Hiszpanji. Angielki, uzewnętrzniające się bardzo wybitną działalnością ogólną na polu kulturalnym, ale wewnątrznie, jak ślimak skorupką, otoczone kręgiem home'u, są dla nas trochę mitem.

Wiemy, że lubią podróżować, że są oryginalne. Ale sprężyna tych cech, motor psychiczny?

A wartoby je jednak poznać bliżej, dlatego też każdy przejaw, charakteryzujący jakiś wybitny typ tej rasy, powinien być dla nas zajmujący.

Jeden z takich typów znajdujemy w powieści Wells'a „Strajk“.¹⁾

Trzeba się zgóry zastrzec: autor nie robi próby określenia typu rasy. Jako pisarz doświadczony, wie zapewne, jakie to trudne i niewdzięczne zadanie, posądzićby go można raczej o typ klasowy, jako cel uboczny zresztą, poza tem nie zdaje się, aby miał zamiar kłaść specjalny nacisk na charakterystykę kobiety, a jednak typ kobiety uwydatnia się najplastyczniej, i rola jej jest najbardziej ważka.

H. G. Wells nie jest chwalcą patriotycznym. Jego elegancki w ekspresji, ale ostry i wnikliwy jak lancet, sarkazm potrafi zadawać głębokie rany dumie narodowej, czasem nawet omal za głębokie. W jednej z ostatnich powieści przedwojennych, w „Wojnie przyszłości“, określił autor gros swego społeczeństwa, jako, powiedzmy grzecznie, idjotów, którzy zagrali się tak doszczętnie w golfa i foot ball, nic poza niemi nie widząc, że wojska niemieckie wkroczyły bezkarnie na pole walki... sportowej i tem dopiero grę przerwały!

Nie o wiele lepiej wychodzi charakterystyka objawów i motorów akcji społecznej i politycznej w „Strajku“. Tylko tu autor bije dosłownie „po głowie“. Tegie lanie dostają liderzy: Lloyd George tak dobrze, jak Ramsay Mac Donald wraz z Baldwinem i magnatami węglowymi. Partje są bezmózgie, a przywódcy słabi, lub chytry i przewrotni. Zato gros społeczeństwa, lud, ciało, jest zdrowe, jest jednakże zdezorjentowane i bezsilne. Moralnym tłem powieści, choć akcja jej toczy się we Włoszech, jest strajk górników zagłębi węglowych w r. 1926, ale fakturą powieści jest utopja.

Cóż dziwnego, Anglik przecież stworzył pierwszą w ogóle w świecie utopję. Wells nie naśladuje zresztą Tomasza Moorusa, ani nawet siebie samego z dawniejszych utworów, nie daje żadnego określo-

go zarysu tego prawdziwego rozwoju, mającego przyjść po smutnem „Tymczasem“ (tytuł oryginalny powieści brzmi: „meanwhile“: tymczasem), ludzkości, oplątanej przesądami, walczącej o drobiazgi i rzeczy nieistotne, a zaniedbującej prawdziwy postęp powszechnej kultury, równości i braterstwa. Wells twierdzi tylko, że obecne stadjum jest złe i bez sensu, że „w przeszłości rodzaj ludzki zdany był na łaskę i niełaskę demonowi zmiany: teraz dana mu została moc przeprowadzenia zmian świadomych na własną rękę“. Jakich?—Nie można wziąć jednego życia, albo grupy żyć, i obdarzyć ich doskonałą i zamkniętą szczęśliwością, odciętą od reszty świata. Nie można być bogiem w Italji, jeżeli pozostał choć jeden cierpiący kaleka w Chinach, czy w Peru; nie można być dżentelmenem w całym tego słowa znaczeniu w czasie, kiedy choćby jeden pokrzywdzony górnik przeklina węgiel, który wydobyl dla nas z wnętrza ziemi. Jak przeprowadzić te zmiany? Politycznie? Boże zachowaj! Autor ma równą awersję do „drabów w czarnych koszulach“, faszystów, jak do „drabów w czerwonych kurtkach“, bolszewików. Polityka jest, jego zdaniem, zawsze aktem podstępny i przemocy. Przyszłość tworzą doniosłe prace intelektualne ludzi wielkiego umysłu, twórczych i potężnych, którzy dziś są jeszcze w mniejszości, ale już się znają, rozumieją i walczą przeciwko ciemnościom!

Można przyznać, że zarysy strukturalne tej przyszłej przemiany przedstawiają się dosyć mglisto, te jednak teorie, wygłaszane przez filozofa-utopistę, wywierają decydujący wpływ na umysłowość kobiety, która w myśl ich pokieruje życiem swoim i męża.

Cynthia Rylands, wiosenny pączek szczęścia, rozwijający się w atmosferze miłości pierwszego roku małżeństwa, w radosnem oczekiwaniu macierzyństwa, na tle najwyszukańszego zbytku i cudów przyrody, wypełniającej jej magnacką rezydencję na Riwierze włoskiej, odczuwa często, że to jeszcze nie jest pełnia życia. Że to tylko to, co życie dało, ale wcale nie to, co jemu oddać trzeba.

Na ten grunt padają słowa filozofa-utopisty Sempacka (wywołane zresztą przez Cynthię jej pragnieniem dojścia właściwego sensu życia, i zaczyna się głęboka przemiana. Pod wpływem żony, Filip Rylands jedzie do Anglji, gdzie wybuchł właśnie strajk i patrzy tam głęboko w życie i psychikę swego społeczeństwa, przenikając do dna wady i błędy swojej kasty, z której taktyką i metodami postanawia zerwać, aby tworzyć lepszą przyszłość.

Czynu konkretnego dokonuje mężczyzna, ale duszą tego czynu jest kobieta, jak to z głęboką, wzruszającą prostotą stwierdza Filip Rylands, mówiąc do Cynthii: „żono droga, matko mojej duszy“.

Bez niej, bez jej wpływu, byłby ugrzązł w bez-

¹⁾ H. G. Wells „Strajk“, Warszawa, Biblioteka Groszowa, przekład autoryzowany Janiny Sujkowskiej.

myślności życia, którego program dnia wypełniał tenis, pływanie, bridż i bale.

„Malańka“ Cynthia twierdzi o sobie, że jej zasięg intelektualny nie jest ani silny, ani szeroki, że ma ona tylko „jasny umysł“ i zdolność spokojnego, logicznego przemyślenia każdej sprawy. Ale bezstronny obserwator musi przyznać jej więcej: siłę koncepcji twórczej, zdolność realnego kierownictwa, które właśnie tak rzadko przyznaje się kobiecie, uważając ją najwyżej za gorliwą i inteligentną wykonawczynię cudzych pojęć.

Prawda, działa pod wpływem teorii Sempacka, ale Sempack jest typowym doktrynerem, dziwolągiem, bez cienia jakiegokolwiek planu swych oderwanych teorii, Cynthia jest życiowym mędrce, rzucającym w ludzi ziarno czynu.

Umie zresztą poza tem doskonale działać sama, bardzo konkretnie i skutecznie. Stalowa, spokojna odwaga, śliczna, rasowa dżentelmenerja, z którą ta kobieta, będąca w ósmym miesiącu ciąży, ratuje przestępcę politycznego, ściganego w swym parku przez faszystów, wykazuje, jak wielki jest zakres jej możliwości.

Subtelna, głęboka, silna i mądra jest Cynthia Rylands, a obok tego tak potężnie uczuciowo macierzyńska, że rozumiemy, dlaczego mąż nazywa ją matką swojej duszy.

Wells dobrze zasłużył sobie tym typem na

wdzięczność swych rodaczek. Nas, przyzwyczajonych tak bardzo do tego właśnie typu kobiecego u siebie, dziwi jedno: prymitywność ujęcia. Cynthia Rylands przeprowadza wielką reformę pojęć swoich i męża, ale czyż w jej środowisku te rzeczy naprawdę są taką nowością, jak to wynika z założeń autora? Teoretycznie zapewne nie, w praktyce możliwe. Pewne zwłaszcza klasy społeczeństw, zawsze wolnych, niedoświadczonych żadnym, zbyt ciężkim losem, mogły zapomnieć myśleć takimi kategorjami. Był od tego własny król, rząd, parlament, uczelnie. Zato ma ta prymitywność budzącego się instynktu humanitarnego ogromny, świeży rozpęd i zapal reformatorski, sięgający do głębi spraw wszelkich. I tu jest też rys psychiki kobiecej. Wells wkłada te słowa w usta Sempacka, ale rezultaty czynów wykazują, że to raczej kobiety typu Cynthii mówią: nie można być szczęśliwym, nie można czuć się wielkim, póki na świecie jest gdziekolwiek nędza i ucisk! Te kobiety waleczą w Anglii o prawa Indji, jak Annie Besant, jadą do zrewolucjonizowanych Chin, aby tam opiekować się opuszczonymi dziećmi: one, ponad zacieklemi rywalizacjami ras i politycznymi intrygami, pracują dla idei pokoju.

Jest ich wiele i pracują z całym młodym rozmachem. Kobiety polskie, tak dawno i dobrze zaprawne do życia dla idei, odczuwają napewno dla tego typu najgłębszą sympatję.

Natalja Jastrzębska.

HANNA MORTKOWICZÓWNA

NASZE WĘDROWKI

Nauczycielom — towarzyszom regionalnych wypraw.

*Ulice, jak ulice i miasta, jak miasta.
Na rynkach dużo słońca, a w kościołach chłodu.
Rzeczywistość z legendą spleta się i zrasta
W gimnazjum „Klerykowa“, w zaułkach „Ongrodu“.*

*Przestrzeń nieba i wody jest często niebieska,
Wszędzie tak samo pachnie las, łąka i woda,
Choć tutaj Pol wyrastał w murach Tarnopola,
Tam rodził się Sobieski na zamku Oleska.*

*Mały Słowacki biegł po wzgórzach Krzemieńca,
Mickiewicz w Nowogródku cieszył się i płakał.
Spotykamy w wędrówkach po dalekich szlakach
Dużo rozsianych listków z laurowego wienca.*

*Jest ziarno, co pod ziemią kielkuje i rozcina,
I dom, który tablicy pamiątkowej czeka,
I te same ulice i te same miasta,
Co ujrzą twórczą pracę — nowego Człowieka.*

*Mijamy tak kolebki i cmentarne bramy,
Których nazwa uznaniem i sławą polyska.
I mijamy też domy, miasteczka mijamy.
Miasta bez sławnych ludzi, domy bez nazwiska.*

*Bo nietylko są groby, pomniki, kościoły,
Wspomnienia, na tradycji nawleczone wstążkę,
Jest jeszcze niepozorny gmach pomszeckiej szkoły,
W której dzieci czytają z trudem pierwszą książkę.*

*Jest przyszłość, która nurtem sił potężnych rozbiera
Po osadach, chalupach, po wzgórzach, dolinach,
Jest ta codzienna chwila, w której bić zaczyna
Serce przyszelego wieszczka, bohatera...*



ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

12)

(szkic powieściowy)

Najdziwniejsze: Rena nie kórzy się duchem. Wita prawdę, skrytą we własnym ciele, z całym szacunkiem prabytu. Kółczy swoją kolebeczkę egoizmu pieśnią o młodości i o soku ziemi. Gdyby mogła wszystkim bliskim i dalekim stanąć przed oczami — ucałowałyby ich jednym słowem: żyję!

Te dawne okruchy słodkich udręczeń, przedsenne marzenia o tęczy skrzydełkach zachwytu, pensjonarskie „szalone“ wiosny — stopiły się teraz w jeden czerwony uśmiech, pokornie przewieszony przez głodne poznanie usta. Każdem dotknięciem nagej dłoni rozpalają się ruchliwe iskierki pożądań i wołają szeptem: całopalenia!

Trzeba tęsknotę gnać precz, tulić wycalowane dłonie do niespokojnych, gorących stożków piersi. I jeszcze tajemnie, jeszcze wstydliwie rozumieć: czekam.

Są wieczory szare, niosące w welonach noc bezimienną. Są szafirowe, uhaftowane złotem gwiazd. I te nowe, pachnące słodkim oparem kwiatów, te zawieszane w Nieskończoności, błękitne wieczory miłości letniej.

Dziś jest bardzo samotnie i trochę straszno. Może od dalekich błyskawic i pomruków nadciągającej burzy, może od pachnącego ciężaru suchego powietrza. Parna duszność bije do skroni. Po zwisających kiściach rąk, po karku odchylonym w tył, przesuwa się dreszcz za dreszczem. Stopy ciężkie wolno prowadzą do domu, nad którym zwisa ciężka cisza.

Chmury prędko zaciągają horyzont. Siedząc w oknie, można teraz przeliczać rzadkie krople deszczu, ciężkie, jak stężała żywica.

W pewnej chwili trzeba wstrzymać w oczekiwaniu oddech: od zajazdu coraz wyraźniejszy tętent... Odrazu nieświadomiony, radosny lęk ścisza serce (czyżby wrócił?). Bardzo niedługo, za parę niespokojnych chwil wpada na ścieżkę szelest kroków. W szarą taflę otwartego na świat okna wsuwa się duży (radosny!) cień. Zaraz przy dłoniach, wpartych w futrynę, całujące usta, ręce drapieżne.

— Wpuścić! wszystko powiem... deszcz pada... wpuścić, maleńka...

Nieproszeni goście — nogi w zakurzonych buciskach zrzucają w triumfalnym skoku doniczkę z okna. Brzęczy zatrzaśnięta szyba, grzechocze pobita skorupa, dzwoni ściszony, gorący głos:

— Rena... moja... cudna... nareszcie sama... nareszcie!...

— Panie... panie...

— ... Jechałem inną drogą, naprzelaż, żeby przed burzą... tu podobno Lilka narobiła strachu... mówił

stajenny... ale to wszystko nieważne... co za szczęśliwy pomysł: pojechała... pierwsza myśl... gdzie ty, Reno... kochana...

— Panie... panie...

— Dziewczynka, poważna dziewczynka z gorącymi ustami... Reno... kocham... kocham...

Z pod fontanny przejmujących szeptów spadła na ciało lawina piorunujących dotknięć, pieszczoł. Mocarne ramiona wessały w siebie wiotką łodygę białej sukni. Błękitny obłok przyćmił spojrzenie.

I wtedy nie starczyło dość sił, aby rozkosznej męki nie wywlec na usta, aby nie przemieszać wzburzonej krwi w nieprzytomnym, szkarłatnym pocałunku. Dwa naprężone łuki ciał zagubiły pojęcie przestąpienia. I wtedy już Rena przestała liczyć lepkie płatki róż, spadające deszczem na wargi...

Za oknem szalała burza.

Borska wróciła dopiero nad ranem zła i zmęczona po noclegu w brudnym hoteliku:

— Bałam się jechać w taką burzę.

Długo trzeba było uspokajać zadąsaną i rozgoryczoną królową.

Lilka miała na parę dni pozostać w łóżku (noga w kostce zwichnięta).

Rena uśmiechem wyrozumiałości przywitała poranek i wszystkie zdarzenia dnia. Troskliwie, z siostrzaną czułością waruje przy białym łóżeczku. Nie tyle może, żeby dać cząstkę swojej dobroci, ale żeby móc przytrzymać siebie na uwięzi. Nie ma dość odwagi spotkać się ze zwycięską siłą brązowych oczu. Nieznana, ciężką błogością snuje się w żyłach wspomnienie wczorajszego szaleństwa. Słodko jest zamknąć się na dziś w samej sobie. I tak chmury zasłoniły za oknem słońce, pelargonje w oknie stuliły w siebie zapach. Można przytulić do serca najtajniejsze westchnienia i czytać Lilce „Anię z Zielonego wzgórze“.

Lilka zwinięta pod kołdrą w kłębuszek. Z oczu zostały dwa czarne paciorki źrenic. Wzdycha ciężko, żuje jakieś niewypowiedziane zmartwienie.

Trzeba dużo tkliwego ciepła włożyć w ostrożne słowa:

— Może masz mi co powiedzieć, Liluś?

— No, cóż, jestem nieszczęśliwa, proszę pani.

— E, cóż to za nieszczęście! Poleżysz parę dni i będziesz zdrowa.

— Ach, mnie nie o to chodzi. Tylko, Stach powiedział, że gdy... że kiedy raz go zdradzę... to mnie... zabije... a teraz wszystko się wydało... — rzęsiście łzy toczą się ze szparek oczu.

— Uspokój się, nie powiemy mu.

— Ach, bo ten tchórz Józek namówił mnie...

żeby zrobić taką indyjską wyprawę... zobaczyć cie-
lątko u starych Grzelów... tam był wysoki płot... i pies...
i on potem uciekł... a ja nie mogłam... wszystko się
wyda... Stach mnie teraz nie zechce!...

Rena lituje się nad biednym, egzaltowanym stwo-
rzonkiem. Jej skargi są także prawdziwe, to małe,
z manierowane kobieciką także cierpi.

— Cicho, Liliś, cicho.

W ramionach (dobroczynnych) ucisza się szloch
wątłej dzieciny piersi.

— Ja wiem... panno Reniu... ty jesteś dobra... ale
mamie nie można mówić... ja jej powiedziałam kłam-
stwo... bo ona tak krzyczała na mnie, gdy w mia-
steczku nie było pana Romana, a na dworze ta burza...
znowu mi powiedziała: „niegodziwa córko“... ja prze-
cież nie chciałam źle... tylko troszkę na złość Stacho-
wi... ale teraz to on mnie zabije!...

— Nie można myśleć o takich rzeczach, Liliś.

— Ja wiem, ale niezawsze można nie myśleć
o tem, co się podoba... a ja go koochamm...

Zdenerwowana dziewczynka ucichła po łzach.
Rena pomyślała: To ostatnie zdanie miało mocny sens:
nie zawsze można nie myśleć...

Tak. Za białą ścianą, w pobliżu, krążył, żył i try-
skał rakietami śmiechu — nowy (najbliższy) męż-
czyzna. I nie można było nie myśleć...

Razem z obiadem dziewczyna przyniosła pocztę.
Na skraju szarej tacy, zaraz przy talerzu zupy, uśmie-
chał się biały list. Był dziś bardziej daleki, niż kiedy-
kolwiek. Był wprost nie do zniesienia. Pokojówka za-
trzymała się, nieproszona:

— Pani dziedziczka kazała pannie Lilci wszystko
zjeść i leżeć grzecznie; gdy pani wróci z plebanji, to
pani przyjdzie do Lilci... a dotychczas to pani nau-
czycielka ma podobnie być przy paniencie... Pan ma-
larz poszedł z panią dziedziczką ten kościół odmalow-
wany oglądać... Niech tam sobie panienci w domu po-
będą, siąpi na dworze...

Rena rozdarła kopertę ruchem pełnym determi-
nacji. „Bardzo nam tęskno za tobą, ukochana Reniu.
Wszystko bez ciebie jest szare i nieciekawe... całe ży-
cie blade“...

— (słowa też były bardzo blade i niedbale cało-
wały po skroniach).

„...Marek leci z Czyńskim do Paryża, kazał cię
pożegnać“... (niema co, serdeczny braciszek!).

„...Jola poprawia się szybko... Mam teraz naj-
cięższe, końcowe egzamina. Brakuje mi twojej pomo-
cy, kochana, twojej najmocniejszej obecności...“

„...Błagam, pisz więcej... całuję drogie ręce... Twój
Stefan?“

Myśli trąciły zlekka te wszystkie dalekie spr-
awy z listu i szybko przycichły. Rumianym, nieznośnym
wstydem przypiekły wyrzuty sumienia.

Sięgnęła po pióro (trzeba było od razu postawić
kwestję jasno. Niech się nie ludzi...).

Jasny arkusik czekał długo na pierwsze litery:

„Kochany Stef!... Muszę ci napisać“...

„Kochany Stef... Chciałam ci powiedzieć“...

„Stef! Bardzo mi przykro...“

Nie, nie można pisać. Wszystkie słowa brzmią
zbyt twardo, okrutnie drapią papier, zlewają się w ró-
żowem rozdrażnieniu. Trzeba rzucić daremny wysi-
łek, obiecać sobie: może jutro.

A „jutro“ wstało znów rozslonecznione i upalne.
Żar słoneczny wessał w okamgnieniu wilgoć ziemi, za-
wisł nad szafranową zielenią obłokiem gorącego oparu.

Nie można dziś usiedzieć w dusznym pudle po-
koju.

Rena zostawia Lilce „Anię z Zielonego wzgórza“
i cicho zamyka za sobą białe drzwi.

Inne dziś, mocniej pachnące kwiaty, mniej rów-
ne ścieżki, niebo bledsze, powietrze przeładowane
elektrycznością. Chce się zrzucić ubranie, zakurzone
pantofle i upaść całym ciężarem ciała w wilgotną tra-
wę łąki!... Zanurzyć twarz w miodzie koniczyny, uca-
lować oczy niezapominajek. Nierówno, prędko bije
serce. Przez żyły przelewa się nurt rozkołysanych
żądź. Dygoce w każdym atomie ciała utajona moc,
skuwająca nogi zupełną beziłą. Usta poznały cało-
wanie. Teraz godziny, spalone w słońcu, nabrzmią
tęsknotą — umilkły. Nie przynoszą nowych spieć
i błyskawic. Życie zatrzymało się na gorącym punkcie.
(Dlaczego Roman od wczoraj inny? Powiedział: „trze-
ba koniecznie ukrywać szczęście przed ludźmi“ —
Czyż nie wolno cieszyć się z kwiatów, które kwitną?).

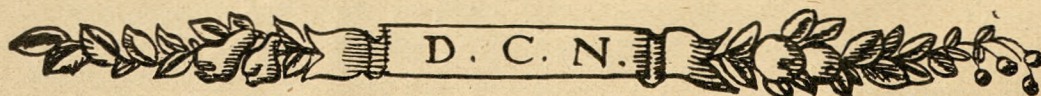
Dojrzałe kłosa kłonią się ku ziemi, chcąc już
trysnąć ofiarnymi ziarnami. Już gdzieś rażą
oczy nagie wycięcia polaci żytnich.

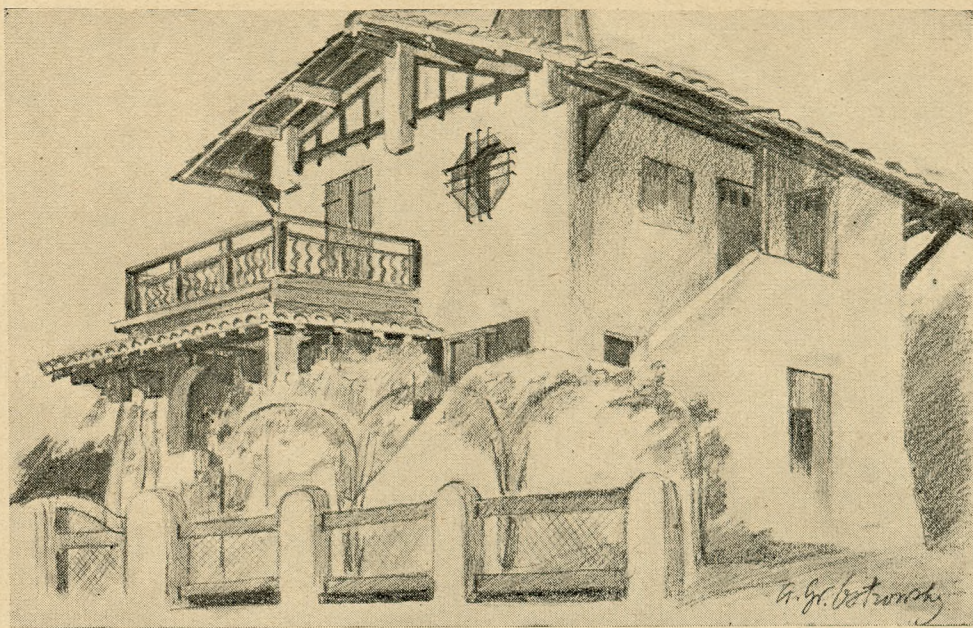
Rena ratuje z pokłosa główki ściętych makó-
wek. Są omdlałe spiekotą, pachną gorzko i za lada
podmuchem ronią czerwone płatki.

(Nad życiem zapanował kolor czerwony, rozcz-
wienił nawet słońce...).

Zmysły, spięte jeszcze na najcierwieńszą klam-
rę uniesień, władają myślą i ciałem. Wsiąka powoli
w duszę opar upojen. Trzeba przegarniać przez nie-
spokojne palce paciorki wspomnień: smak wybra-
nych ust, zapach włosów, słowa rozpalone do bia-
łości, dotknięcia nagich dłoni. Żyją prawdę pożą-
dania, wżartą w rdzeń mózgu, błękitne godziny za-
gubione w miłości. Dość jeszcze przymknąć powieki,
ręką przygnieść rozdzwonione serce, aby przywołać
obecność gorącej godziny, aby wpleść się poddańczo
w zwycięskie ramiona.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska





A. Gramatyka-Ostrowska: „Dom baskijski“.

CI, CO WYJECHALI NA SREBRNE WYBRZEŻE

Jedni z nich zatrzymali się w Arcachon. Nazwa ta dobrze Polsce znana. Dla naszego ucha często smutne jest to brzmienie, wiele jednak ust z wdzięcznością wymawia Arcachon d'hiver — zato, iż w zimie, równie o 7-mej wieczór, jak i o 7-mej rano, powietrze jest łagodne, a wille wśród wzgórz, szpilkowemi lasami pokrytych, w wesoloci drzew magnoljowych i mimoż, są cichym przytulkiem dla chorych na płuca.

W dawnej kaplicy, przylegającej do nowego kościoła, wisi Matka Boska Częstochowska z wieniem liter nad głową: „Regina Poloniae, ora pro nobis!“. Modli się Królowa Polski, daty: 12 maja 1872 r. i 12 maja 1890-go znaczą czas przebytej tu choroby i cudownych od niej wyzwolin. Niżej napis po francusku, brzmiący w dosłownym przekładzie: „W dowód wdzięczności, ufności i wiecznej nadziei, za wyzdrowienie córki Rozalji — Zuzanna księżna Czartoryska“.

Nietylko bezpośrednio swym poddanym Królowa Nasza litość okazuje. Obraz jej w przewodniku łaskami słynącym nazywają, o czym świadczą liczne wota, lądowe i morskie: okręciki i kotwice; przynieśli je Gwieździe Morza przez Nią uratowani żeglarze. Na świeczniku zatknięte płoną świece, nieustającej pomocy błagające.

Nie wszyscy, którzy proszą, są wysłuchani. Nie wszyscy, którzy od przedwczesnej śmierci uciec nie mogą, zdolają chociażby uchronić się przed skonem na obcej ziemi. Wówczas bliscy nie dziękczynne stawiają tablice, tylko na cmentarzu, na tym kwadracie, w lesie wyciętym i wciąż do słońca obróconym, w tem najweselszem w zimowem Arcachon miejscu, w marmurze polskie ryją imiona. Obok nich lata, świadczące o niespełnionych dniach życia.

Na grób kochanych, naddludzkiego nieraz bólu dźwigając brzemię, kochający znoszą lekkie naręcza kwiatów. Bohaterskie oczy, które do końca cierpie-

niu swemu uśmiechać się kazały, teraz łzom płynąć pozwalają.

Przez las sosnowy, gdzie z nadciętych drzew, żywica, jak patoka sączy się biała, narkotyczną roznosząc woń, po ciężkim, choć złotym piasku ślady swe znaczą.

Na globie męki jedna więcej polska ścieżyna...

*

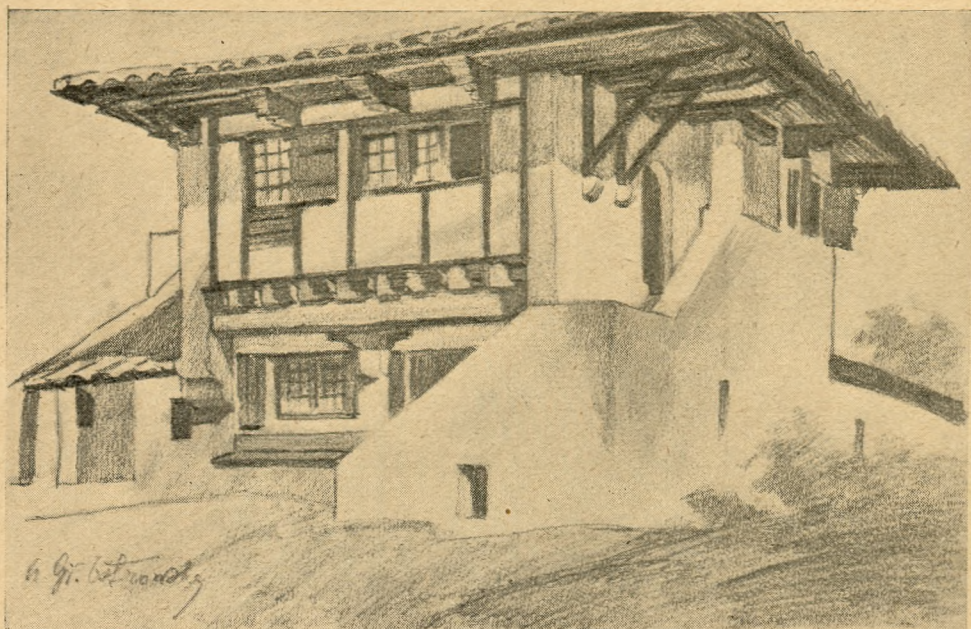
Hiszpanja od Arcachon niedaleko, choć za górami.

Czuć słodki i gorący powiew Pyrenejów. Wille nazywają się Carmen i Mirador, sprzedają nugaty z Gijon i toleańskie marcepany.

Kontakt z sąsiadką ciągły i widoczny. W pobliżem Dax, sławni hiszpańscy toreadorzy brali udział w walkach byków. Wszyscy spokojnie czytali afisze, a na widowisko wybrały się nawet osoby, protestujące przed paru miesiącami w Melun, pod Paryżem, przeciw temu zabytkowi barbarzyństwa.

Kasyno w zimowem Arcachon jest—maurytańskie. Nie wiem, za jakie grzechy niepopelnione względem tego stylu, który uwielbiam, kazano mi po Grenadzie tu przyjechać. Pomimo uprzejmości dyrekcji, która przysłała mi bilet wstępu, raz tylko weszłam pod łuk arabski — otoczony czerwonymi żarówkami...

Na szczęście, tego rodzaju budynek jest wyjątkiem, panuje zaś architektura miejscowa, baskijska. Górale z prowincji Navarre, zajmujący oba stoki Pyrenejów, od strony Francji i od strony Hiszpanji, posiadają odrębną sztukę i tak silną indywidualność, iż wpływ ich widoczny jest na Srebrnym Wybrzeżu. Więcej nawet: całe, jak długie, pomorze francuskie urządzało w tym roku konkurs na najpiękniejsze noszenie baskijskiego beretu. Beret baskijski jest ciemny, cechą zaś charakterystyczną upodobań tego narodu jest krata. Płótna ich, szare lub żółtawe, mają pasy



A. Gramatyka-Ostrowska: „Dom baskijski”.

przeważnie czerwone i granatowe, krzyżujące się pod prostym kątem; podobnie na jasnych murach domów ułożone są ozdoby z ciemnego drzewa. Obramowanie okien, nierzadko również ciemne, prowadzi wzrok w tajemniczość mieszkania, które, na zewnątrz harmonijne, wesole jest i jasne.

Podczas wakacyj całe Arcachon — zimowe i letnie, górne i dolne — zmienia się w miejsce odpoczynku. Przyjeżdżają tu ludzie zdrowi i weseli, pragnący nabrać sił do utrzymania nadal tego zdrowia i wesela. W lesie nad morzem, w spoczynku i przy dobrem odżywianiu płyną człowiekowi dnie, jakby był najszczęśliwszym w świecie...

W willi Carmen, która, jak głosi: „nie jest hotelem, ani pensjonatem, tylko home” — najmniej pół Ligi Narodów jest reprezentowane: amerykańskie dzieci, żeby zawczasu sfrancuziały; rosyjski powojenny balet i rosyjska dawna gwardja; flamandzkie piwowary; szkocka odwaga, spóźniająca się na wszystkie repas; francuska nuda i — uroczę polki. Wśród nich, oczywiście, hrabina; jej towarzystwa bardzo gorliwie szuka petit bourgeois, nietyle dla podkreślenia aljansu dwóch narodów, co dla sławy arystokratycznego flirtu. Jakże bogaty ma wybór! W pensjonatach, jak i u dentystów, dotąd, pomimo równości, więcej jest kobiet, aniżeli mężczyzn.

Wszystkie nacje zgodnie zajądają langustyńki, a kości niezgody ogryzają psy; spaceruje ich bez liku, noszą, jak i koty, różnonarodowe nazwy. Pamiątka po gościach, pragnących wszędzie widzieć cząstkę ojczyzny.

Na plaży panem sytuacji jest „maitre-baigneur”, przewodniczący Klubu łabędzi. On udziela lekcji pływania i pod jego dyktando odbywa się gimnastyka. Starsi francuzi, chcąc dogonić czas ubiegły i naprawić ciała swego defekty, ćwiczą się nagwałt. Młodzi — zarówno mężczyźni, jak i kobiety — czynią to dla pokazania sprawności zbronzowanego ciała, dzieci zaś — dla dobra swej przyszłości. W pewnych momentach cała plaża jest w ruchu i prawie naga.

Na odpoczynek przychodzi inne zajęcie. Panie wracają do pyjam i, w namiotach wzajem się odwiedzając, pokazują sobie ścieg nowego trykotu. Pano-

wie rozmawiają o akcjach i o sytuacji ekonomicznej, dzieci zaś, bawiąc się, uczą się życia.

Od czasu do czasu, między szum fali, w ucho moje razem ze śmiechem wplątuja się jakieś słowa. Sądzą fanty.

Nagle, patrzę, siedzi przy mnie czternastoletni murzynek.

— Pani pozwoli? Za karę kazano mi spędzić z panią trzy minuty.

— Kara sroga. Postaram się ją złagodzić. Zobaczmy najpierw, która godzina, żeby nie przekroczyć czasu.

Bawił mnie rozmową, jak polski chłopak w czternastu latach z pewnością nie potrafił Zainteresowana, śledzę dalszy ciąg gry.

Zrywa się trykotowy podłotek, biegnie do pary, czulące się na oczach wszystkich, przyklęka, całuje pana w twarz,

ten grzecznie zdejmując prawie admiralską czapkę i po chrześcijańsku nadstawia drugi policzek.

Uprzejma dziewczynka pyta:

— Pani nie jest zazdrosna?

Polska dziewczynka nie umiałaby się tak bawić, i Gdynia nie śmiałaby się bardziej z pocałunku, aniżeli z poprzedniej rozmowy.

Różnokolorowa pyjama, meksykańska, z szeroko zakończonymi spodniami, albo ściśnięta na gumę w kostce, wychodzi z nad morza na coraz szerszy świat. Widać ją na ulicy i w kawiarniach. Ludzie jeszcze się gapią, bo cóż lepszego mają do czynienia? ale przestaną. Może wówczas minie już jej powodzenie, oparte na zainteresowaniu nowością? Rybaczki tutejsze od wieków wdzwiewają czerwone spodnie i nikt się temu nie dziwi, choć niebardzo harmonizują one z wysokimi kapuzami, oszytymi wielką kryzą.

Wieczorem, gdy deszcz pada, chodzi się do kawiarni (Victoria), z jej tarasu tak blisko do morza! Jest tam koncert — nie jazzu, lecz orkiestry symfonicznej — kończący się chóralnym odśpiewaniem refrenu z Parade d'Amour:

„Nous marchons vers la gloire et l'honneur!...

Czyżby?...

Pokojówka z Carmen bywa też na tych koncertach ze swym „ami”. Tylko że, gdy my idziemy pod parasolem, ona jedzie pod sklepieniem limuzyny. Nazajutrz grzecznie się informuje:

— Panie niebardzo zmokły?

Pokojówka z Carmen jeszcze pyjamy nie nosi. Gdy deszcz nie pada, najmilej chodzić brzegiem morza, lub drogą, przez las pachnący, patrzeć na dwa dziś rodzaje gwiazd: srebrne, odwieczne, niezabudki aniołów — i nowe, purpurowe lub błękitne, zapalone na samolocie.

Srebrne niech zlatują, niech lecą spełnić niespełnione życzenia serc! Znaki zapytania niech bez przeskód płyną po niebie, niech je bezpiecznie do celu doprowadzi — Stella Marina.

Arcachon.

Aura Wyleżyńska.

MORZE I ZBOŻE

— W Gdańsku djabelsko drogo, poza tem nic ciekawego — pisze młodzieniec w niebezpiecznym wieku, lat dziewiętnastu, na kartce z widokiem „Kranthor'u“.

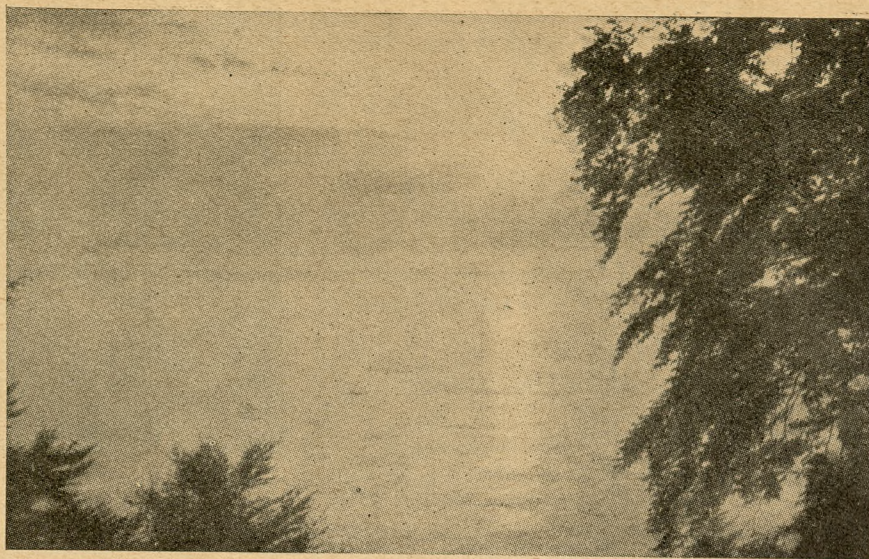
— Co ty o tem możesz wiedzieć? Przecież jeszcześmy nie byli w mieście — powiadają nieufnie towarzyszki, zostawiają rzeczy na przechowaniu i idą „zwiedzać“.

Okazuje się, że dzieci mają niezawodny instynkt. Drogo jest wszędzie piekielnie. Guldeny, przerachowane na złotówki, tworzą jakieś sumy zawrotne, których obejrzenie zewnętrzne (wewnątrz zamknięte) słynnej Marien-Kirche, raczej ponurego, niemieckiego gotyku, i sławetnego zegara, którego konstrukcję wynalazca miał ongi utratą wzroku przypłacić, dość słabą stanowi kompensatę. Zwłaszcza, że apostołowie nie chcą wyskakiwać, nawet przy biciu dwunastej godziny. Nie jestem zupełnie pewna, ale coś mi się majaczy, że oślepiiony wynalazca przez zemstę zdołał przecie zepsuć werk.

Widok portowej zatoki z olbrzymiemi śpichlerzami, dźwigami, statkami, słońcem nie jest pozbawiony uroku i pomaga przełknąć przepodły obiad w restauracyjce z zielonym ganeczkiem, wychodzącym na wybrzeże. Jednak przedstawicielom polskiej inteligencji, jadącym nad polskie morze, należy stanowczo odradzać zatrzymywanie się w Gdańsku od pociągu do pociągu. Za cenę tych paru godzin, będą mogli letnie nadmorskie wywczasy o kilka ładnych dni przedłużyć.

Od Wielkiej Wsi wozi letników po bajkowej szosie luksusowy autobus.

Przedstawiciele inteligentnego proletariatu omijają wykwińt Jastrzębiej Góry, obrzucając pożądlivem spojrzeniem białe w słońcu wille i rozległy las sosnowy, kunsztownie siecią ścieżek na park przetworzony, a rozpostarty nad samem morzem i łagodnym stokiem na złoty piasek nadbrzeżny wiodący. Walizki



Świt nad polskim morzem.

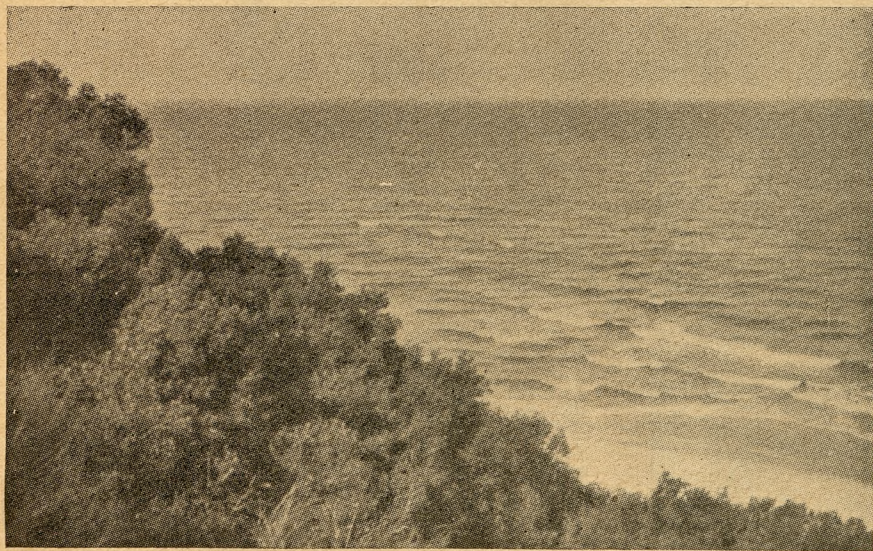
w garść i kuszyk, kuszyk piaszczystą drogą do rybackiej wsi, zwanej Tupadły, której to nazwy p. Stanisław Wasylewski cokolwiek frywolne daje wytłumaczenie.

Przy drodze dużo małych, niskich domków z ogródkami. Bosa dzieciarnia, pies, kot, gnojówka... Instynktowny skurecz nieufności w sercu mieszczaucha. I miła niespodzianka: pod niskim dachem izby jasne, obszerne, z miejską, niegustownie, ale całkiem wygodnie umeblowane i... zgoła przystępne w cenie.

Wiśnie w ogródku trochę kwaśne, na kompot wyborne. Uprzedzająca uprzejmość gospodarzy, mleko prosto od krowy, flondry świeżutkie, jarzyny, przywożone z Pucka, dwa razy w tygodniu.

Ale to wszystko fraszka. Trochę tak, czy inaczej — nie o to przecież chodzi. Najważniejsze jest morze. A idzie się do niego polem i lasem... Lasem sosnowym, polem rozmaitem: (kartofliskiem, koniczyną, łąką, zbożem, miedzami... za drogowskaz mając duży czarny wiatrak, rysujący się, jak wycinanka, na tle nieba. Potem trzeba schodzić z piaszczystego urwiska, porośniętego kosmato kępami janowca. Ale zanim się zejdzie, trzeba się chwilkę zatrzymać, nawet zasiać na zboczku miękkim i elastycznym, jak szaro-zielona, pluszowa kanapa, i podziwiać M o r z e.

Przedwieczorną porą — kiedy słońce, w połowie już pod wodą ukryte, w połowie gazą pełnych chmurek porośnięte, barwi niebo i morze bladym różem, przelewającym się w błękit, jak wnętrze olbrzymiej perłowej muszli — można się ludzić, że się jest we wnętrzu tej muszli, że się jest właśnie perłą. I poznaje się spokój i beznamiętność, i chłód, i doskonałość formy perły. Wszystko dookoła jest piękne, dostojne i obojętne, takie, jakim jest i jakim być musi. A na myśl, że gdzieś daleko istnieją przecie wielkie miasta, pełne ludzkich mrówek, dławiących się wzajemnie i miotanych nieustannie jakąś gorączką bezładu — śmiech



...Przedwieczorną porą...

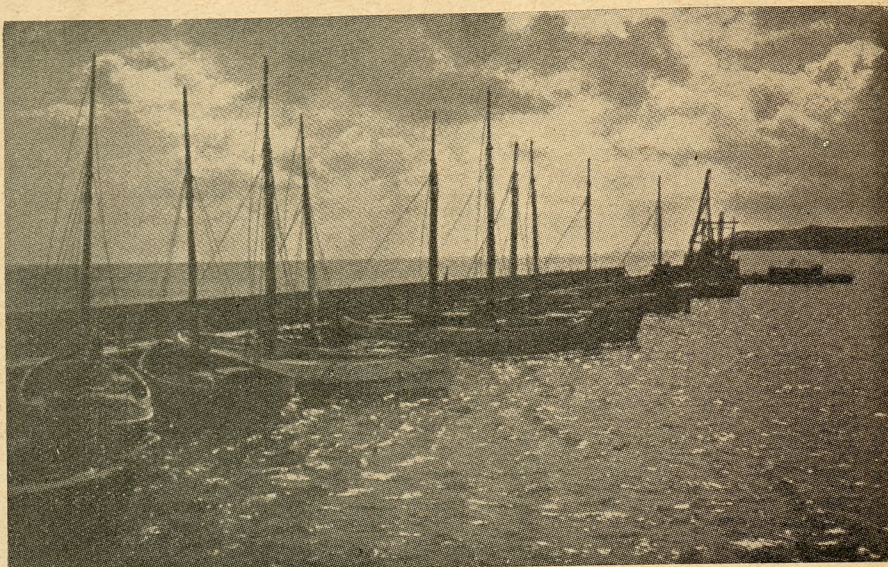
ogarnia pusty. Jakież się to wszystko wydaje małe, niepotrzebne, śmieszne i bezmyślne — wobec bezmiaru i spokojnej potęgi morza.

Niezawsze jednak tak bywa. Morze jest zmienne, jak kobieta, której niepodobna przestać kochać, zato właśnie, że jest ciągle inna, i że nie można przewidzieć, jaką będzie.

Perłowe wczoraj, dziś mieni się szmaragdem i szafirem, czasem znów fioletem i ołowiem. Łagodnie, jak macierzyńska pieśczość ciepłe, naraz pieni się wściekle, mrozi do bólu przejmującym chłodem.

Fale są, jak rozfiglowane zwierzęta, oswojone, a przecie jeszcze trochę dzikie, niezupełnie pewne. Najczęściej taki wściekły bałwan, nadlatujący z rykiem, groźny rozwianą grzywą białej piany, przybiega do stóp pokornie zadyszany, oblizując kolana ciepłym wilgotnym jęzorem. A fala szafirowa, lekko wydętym grzbiecikiem zaledwie widoczna, podplywa cicho, znienacka i omal z nóg nie zwala.

I dlatego w morzu nie bywa nigdy nudno, nie bywa też nudno w piasku nad morzem. Słońce przychodzi pocieszyć po okrutnej czasem pieśczości fal i załagodzić wszelkie nieporozumienia. Maluje skórę na kolor roztopionej miedzi, czasem także się zbyt postara i przesadza: chcąc ogrzać — oparzy. Ale to tylko raz jeden na początku. Potem jest już dobrze do końca. Nocą ciemną tkaninę nieba raz wraz przesywa ostra złota iglica morskiej latarni w Rozewiu. La-



Lodzie rybackie.

tarnię można zwiedzać. Nieopodal rok rocznie rozbija namioty najstarszy polski marynista, polskiego morza namiętny kochanek, malarz Nałęcz. Tam też gnieździ się w własnoręcznie skleconym szalasiu inny malarz — Szwoch. Spacerowicze mogą oglądać bezpłatnie stałą wystawę jego obrazów.

Tylko, że rzadko miewa się ochotę do dalszych spacerów. Zbyt pięknie jest blisko, najbliżej. Ma się morze, las, zboże — wszystko. Zresztą zboże już ścięto, i do morza można chodzić naprzelaj, nie oglądając się na miedze. Jest jeszcze bliżej.

Jadwiga Kiernarska.

CYWILE I MY

Tak mówi szaro-stalowa piechota, maszerując twardym krokiem po nierównym bruku, tak z uśmiechem pod wąsem twierdzą ulani, spoglądając z wy-

soka na mijających ich zwykłych śmiertelników, tym samym bojowym okrzykiem witają gości niepozorne małe żołnierzyki, „pewiaczkami” zwane.

Skąd ta śmiałość... czy żyją wśród nich bohaterskie tradycje obrońców Lwowa i Wilna, czy historyczne wspomnienia pierwszych pionierów na polu wojskowym... czy też jedynie młodociana fantazja i rozpęd... na zapas.

Mała potulna Kazia Maleska przyjechała do obozu.

Dostała pusty siennik, garstkę słomy i zlekka przydymiony obiad.

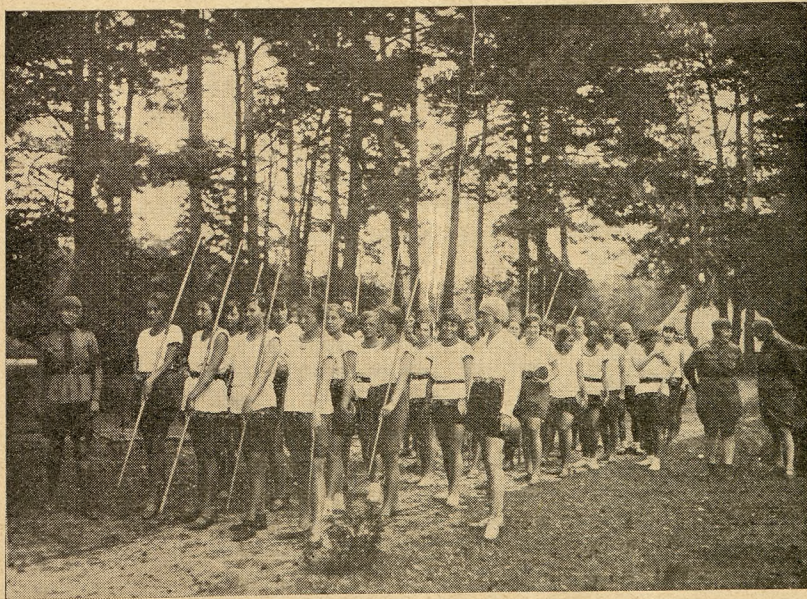
Deszcz mży, miejskie buciki zaledwie chronią od wilgoci.

Usiadła na pieńku, jedynym, znajdującym się w pobliżu, meblu obozowym. Buzia układa się w podkówkę, z pod boleśnie przy-mrużonych powiek obserwuje kręcące się postacie.

Wszak to jej towarzyszki podróży uwiązają się po polanie, zajęte stawianiem namiotu.

Ach! więc i to ją jeszcze czeka. Z ciężkiem westchnieniem przyłączyła się do gromady.

Sprężystym dziarskim krokiem, ciągnąc



Przygotowanie do ćwiczeń.

długi słup namiotowy, sąsiadka Kazi ze szkolnej ławy pogwizduje jakąś wesołą piosenkę obozową. Z pogardą spogląda na Kazię.

— Zawsze byłaś mazgajem — rzuciła przez zęby — a tu wstyd mi robisz — i z niebywałą wyższością zabrała się do wbijania palików namiotu.

O, bo Stasia Zarębska to urodzony żołnierz, zawsze chodzi wielkimi krokami, ba, nawet na zakrętach zawraca pod prostym kątem, to sztuka nielada.

Przed wieczorem na pustej polanie, ładnie zarysowanym równym półkolem wyrosły namioty. Kazia, zmęczona i głodna, uwierzyć nie może, że to także jej dzieło, jej, która dotychczas nie zamiotła pokoju i nigdy nie zrobiła dłuższego spaceru ponad dwa przystanki tramwajowe.

Pierwsza zbiórka.. rozkaz na dzień następny. Stasia Zarębska z miną wodza staje w szeregu, jest wysoka i przypada jej miejsce na prawem skrzydle. Pewno zostanie drużynową, w myśli powtarza słowa komendy. Komendantka ogłasza rozkład zajęć. Padają nazwiska i wyznaczone prace;—Zarębska—obieranie kartofli... Maleska — warta nocna... Oba wywołane nazwiska pozostają bez odpowiedzi. Komendantka sprawdza raz jeszcze... — Rozkaz — szepcze Kazia; — proszę wyznaczyć inną — odzywa się Stasia.

Wśród dziewcząt są także „prawdziwe powiaczki“, zamaryły ze zgrozy... odpowiada z szeregu!!!

Dzień do dnia podobny, prace obozowe, wycieczki i ogniska.

Świetlany krąg płonącego chróstu rzuca ukośne blaski na widmowe drzewa... Coś się tai za krzakiem, coś szeleści wśród trawy... Komendantka opowiada, jak to było w 1920 roku.

— Oddział piechoty, w którym służyłam, przetrucano z miejsca na miejsce, byliśmy zmęczeni i głodni, lecz nastrój panował doskonały. Marzyłam o jednym z tych nocnych patroli, o których uroku tyle czytałam. Wreszcie dowiedziałam się, że dziś drużyna nasza idzie na wywiad. Z biciem serca czekałam wieczoru. Koledzy z niedowierzaniem odnosili się do mnie... „Baba na froncie — napewno zwieje!“ Przy rozkazie dowiedziałam się, że dziś jeszcze mam odwiedzić chorego żołnierza do szpitala, położonego daleko od frontu.

— I to jest wojsko — wybuchnęła Stasia.

— To jest rozkaz — jak echo powiedziała twardo nieśmiała Kazia — już czas, byś przestała być cywilem.

— Jadąc na trzęsącym chłopskim wozie — ciągnęła komendantka — podtrzymywałam głowę ranego, skarżył się cichym głosem; myślałam jeszcze o nieudanym wywia-

dzie, lecz wyboista droga i jęki chorego wymagały ciągłej uwagi. Zrozumiałam, że tu jestem naprawdę potrzebną... że tu jest moje miejsce.

Ognisko dogasa, dziewczęta zamysłone śledzą niebieskie płomyki.

„Do modlitwy“ pada rozkaz. Powstają jednocześnie jak pod wpływem różdżki czarodziejkiej, słowa pieśni rozbrzmiewają potężnym echem, wędrują do chat, do rozbrykanych pastuszków na łące.

Wycieczki były nagrodą wszystkich zmartwień obozowych.

Długim zwartym węzem, podnosząc wysoko głowy, wyrusza kompanja.

Tyle hartu w młodych twarzach, tyle energii i życia. Wędrują chłodnym cienistym lasem, nogi zda się same się poruszają. Postój na polanie nad brzegiem leśnego jeziora. Oddycha się pełną piersią; chleb z kielbasą — przysmak nielada.

— No cóż, dziewczynki, chcecie już wracać do obozu? — pyta komendantka.

Wołają chórem: „Chcemy iść do jutra“.

Wymarsz — droga prowadzi piaszczystą wydumą, słońce przypieka, usta pełne kurzu, piosenka zamiera — oddział wydłuża się coraz bardziej... dowolny krok zamienia się w niedbałe wyciąganie nóg z sypkiego piasku.

— Tak gorąco! — woła ktoś z szeregu.

— Mam skaleczoną nogę!

— Ta droga nigdy się nie skończy...

Padła komenda: — równy krok, kryć, równać — odtrąbiono.

Raz, dwa, trzy — śpiewać. „Jak to na wojence ładnie“ — intonuje sama komendantka. Oddział zakolysał się miarowym ruchem ramion... Oczy patrzą przed siebie, nie widzą sypkiego piasku, nogi prężą się elastycznie.

Niepostrzeżenie przechodzą na twardą szosę, i ukochana piosenka wybucha żywiołowo z ostatnich szeregów: „I głos piosenki w polu drga, oj nie masz to jak P. W. K.“.

Gwarno i rojno na małym dworcu kolejowym. Obóz Przysposobienia Wojskowego Kobiet powraca do domu. Mieszkańcy okoliczni wylegli na peron, by oglądać to dziwne wojsko. Cicho i składnie wsiadają

dziewczęta do wagonu. Ustępują miejsca jadącym podróżnym, przeszły tylko pięć kilometrów, mogą postać.

Zaledwie pociąg ruszył, zagrzmiała piosenka, głosząc światu, ile radości i życia wniósł w tę młodą gromadę pobyt na obozie.

Pierwszy dzień w szkole. Drużyna wola zwoluje na pauzie swoją drużynę.



Odpozynek podczas wycieczki.

— Coś wam powiem... — przybiera tajemniczą minę — co zrobić, by każdy wiedział, że należymy do pierwszej drużyny?...

— Będziemy na pauzie śpiewać piosenki — odzyna się wesół sopran.

— Lepiej robić musztrę — mówi druga.

— Postanawiamy mieć same piątki — głosem niecierpiącym sprzeciwu powiada Stasia Zarebska — przecież w klasie cywile i my! *M. Podhorska.*

ZE ŚWIATA SPORTOWEGO

Pojęcie o tem, co wypada, a co nie wypada, zmienia się w różnych okresach czasu. Dziś nie wypada nie znać wielkich szlagerów filmowych, nie odróżniać marek automobilowych i nie wiedzieć o wyczynach sportowych naszych asów. Może niejedynemu kręci nosem na „takie czasy“, ale jednak w cichości ducha studjuje komunikaty sportowe, bo przecież nie jest „zacołańcem“.

Aby na to miano nie zasłużyć, trzeba wiedzieć, że w ostatnich czasach ustalono szereg nowych rekordów polskich w pływaniu kobiet. Pływanie — to najbardziej zaniedbany sport w Polsce; jesteśmy narodem, który wybitnie boi się wody. Pomijam już kaszubów, którzy nie umieją pływać — jest to zjawisko często spotykane wśród rybaków i marynarzy całego świata — ale przecież nasi włościanie, mający tyle rzek i jezior, nie kąpią się prawie nigdy. Wśród sfer inteligencji zaś doniedawna jeszcze znaczny odsetek pływających stanowili ci, co się do tego sportu wzięli zagranicą. Na szczęście od kilkunastu lat sytuacja uległa zasadniczej poprawie. Wprawdzie jeszcze kilka lat temu rekordy naszego mistrza pływackiego „mężczyzny, odpowiadały wynikom pływania jedenastoletniej amerykańki, ale i to się już zmienia.

Oczywiście nasze kobiety nie dają się wyprzedzić mężczyznom. W połowie sierpnia odbył się w Pradze mecz pływacki między Polską a Czechosłowacją. Niestety, mecz ten dowiódł nam, że jeszcze jesteśmy w ostatnich szeregach Europy, skoro nawet nie potrafimy wygrać z Czechosłowacją, która też przecież nie należy do najlepszej klasy. Do olimpijskich wyników bardzo nam jeszcze daleko i nie osiągniemy ich przedtem, zanim nie zdobędziemy dla sportu pływackiego większych mas — wtedy otworzą się perspektywy odkrycia „gwiazd“.

Kobiety jednak mogą być bardziej zadowolone od mężczyzn, gdyż one to zrobiły znaczną większość punktów dla Polski, bijąc zresztą kilka rekordów. Nasze młode pływaczki, jak Nowakówna, Morawska, Kratochwilówna i Jarkuliszówna, dowiodły, że mają jeszcze dużo przed sobą. Pocieszające jest też, że ciągle przybywają nowe zawodniczki i bezapelacyjnie zwyciężają swoje starsze koleżanki. To daje nam gwarancję poprawy wyników naszego pływania. *W. P.*

POLSKA NIEZBADANA

(Książka Amerykanki o Polsce).

W roku zeszłym przez kilka miesięcy gościła Warszawa pannę Irace Humphrey, która przybyła do nas z Ameryki, aby poznać Polskę, a jak sama twierdziła: „aby nauczyć się ją kochać“.

Owoce jej studjów i wycieczek — panna Humphrey nie ograniczyła się bowiem na Warszawie, lecz zwiedziła Poznań, Lwów, Kraków, Wilno, Gdynię i Zakopane, a nawet tak

małe miasteczka, jak Zamość i Jaremcze — jest piękna i luksusowa, z dużym poczuciem smaku wydana książka p. t. „*Poland the unexplored*“ (Bobs Merrill Company, Indianapolis, 1951).

W książce tej autorka w żywej formie porusza cały splot tematów historycznych, etnograficznych, obyczajowych i artystycznych, odnoszących się do teraźniejszości, a jednocześnie sięgających głęboko w naszą przeszłość, w dziedzinę bogatych naszych tradycji. Obdarzona znaczną inteligencją, dużą ciekawością i wrażliwością umysłu, umie ona patrzeć i umie obserwacje swoje trafnie, a nieraz z humorem notować.

Nie omija żadnej okazji, aby wzbogacić zasób swych doświadczeń podróźniczych. Rozmawia z ziemianami, z chłopami, z urzędnikami, z profesorami, ze studentami, z adwokatami, posłami na Sejm, z emigrantami, z księżmi, artystami i literatami, a każda umiejętnie przez nią przeprowadzona rozmowa daje jej nowy materiał, nowy temat do impresji.

W rozmowach tych poznaje Polskę, poznaje jej bogactwa naturalne oraz splot stosunków ekonomicznych i społecznych. Nie waha się również zajrzeć do gheft żydowskich, do których uzyskała listy polecające od rabinatu amerykańskiego, a interesują ją one w równej mierze, jak pałace, dwory i wiejskie chaty.

Co najbardziej zniewala czytelnika w „Polsce niezbadanej“, to nietylko gorący zachwyt autorki nad architekturą naszych miast, nad pięknem naszych gór, rzek i morskich wybrzeży, ale serdeczna dobroć i ciepło jej kobiecego serca:

„Przebyłam Polskę wzdłuż i wszerz, zajrzałam niemal do każdego jej kąta — pisze p. Humphrey. — Widziałam niezmiernie równiny i uprawne pola tego kraju, w dwóch trzecich rolniczego. Widziałam także lasy i wzgórze, wybrzeża morskie, kopalnie węgla i nafty i przemysłowe miasta. Jeździłam koleją (pierwszą, drugą i trzecią klasą), autobusem, tramwajem, samochodem, powozem i dwa razy nawet na chłopskim wozie. Nie pytałam o drogę, wogóle nie zadawałam żadnych pytań, bo widziałam, że ludzie ci są zbyt zajęci, aby móc przystanąć i zająć się mną. Doznawałam przez cały czas podróży wrażenia, że jestem gościem, i to wielce szczególnym gościem. Polacy byli bardzo zaintrygowani tem, skąd przybywam. Odrązu spostrzegłam, że „Amerykanka“ było to słowo magiczne, które torowało mi każdą drogę i otwierało wszystkie wrota“.

Z kart, poświęconych pięknu architektonicznemu Polski, osiągnąć może korzyść nietylko cudzoziemiec, ale nawet polak, mało bowiem posiadamy tak barwnych i z taką bezpośredniością oddanych opisów naszych zabytków, jak w książce p. Humphrey. Kraków, Zamość, Wilno, ze swemi średniowiecznymi kościołami i gmachami, obudziły jej szczyry podziw. Jej czujnej uwadze nie uszły żadne właściwości i barwy naszego folkloru, czego dowodem ładna impresja z Łowicza i opis strojów łowickich.

Poznała Polskę zewnętrzną, ale potrafiła także sięgnąć do jej duszy i zgłębić objawy jej życia wewnętrznego i stosunków ludzi ze sobą. Zastanowiła ją postać Skargi i wielkiemu kaznodziei poświęciła szereg głębszych uwag i refleksyj. Na specjalną uwagę zasługuje opis jednodniowej wycieczki do Częstochowy. Pielgrzymkę tę opisuje p. Humphrey z gorącym entuzjazmem, gdyż „wizyta na Jasnej Górze odsłoniła przed nią — jak się wyraża — tajemnicę i siłę polskiego nacjonalizmu“.

Książka p. Humphrey jest najlepszym, jaki ukazał się dotąd, przewodnikiem dla kulturalnych Amerykanów, którzy chcą poznać Polskę. Oprowadza bowiem nietylko po jej miastach i godnych uwagi zabytkach, ale pozwala wnikać głęboko w jej ducha.

Strona zewnętrzna książki jest okazała. Na barwnej obwlocie okładki widnieje motyw architektoniczny ze Starego Miasta, oraz ozdoby z polskich wycinanek ludowych, a bogato ilustrowany odbitkami ze zbiorów Towarz. Krajoznawczego i fotografiami J. Bułhaka tekst uzupełnia ogólna mapa Polski, oraz szczegółowy indeks. *Z. R.*

Z KSIĄŻEK

Maurice Renard: „Żaba“ — z upoważnienia autora przełożył Gabriel Karski. — Warszawa, 1951 Towarzystwo Wyd. „Rój“.

Pośród książek, wydanych u nas w ostatnich czasach, roi się od arcydzieł cudzoziemskiej beletrystyki, z których nieumiejętny, dyletancki lub niedbały przekład stał niemal całkowicie stylu: indywidualnym i rasę, a zatem to, co stanowi pięćdziesiąt procent wartości prozy.

W przekładzie „Żaby“ stosunek tłumacza do autora jest odwrotny. Chwilami ma się wrażenie, że tłumacz w zapale odwórczym prześcignął oryginał. Ten zbiorek zupełnie przeciętnych pod względem treści nowelek nabiera nieprzeciętnego smaku dzięki stylowemu podejściu autora, którego finezję tłumacz doskonale transponował na polskie słowo. W przekładzie nie czuć ani francuskiej składni, ani francuskiego szyku wyrazów, ale nad każdym zdaniem unosi się aromat galijskiego „esprit“, tak cenny dla prawdziwych smakoszy wykwintnej lektury.

Rekordem stylowej transpozycji jest „Zwizdzenie pani d'Estrailles“, rokokowe cacko, drukowane uprzednio w „Bluszczu“. Dzięki umiejętnemu i taktownemu archaizowaniu „Zwizdzenie pani d'Estrailles“ odbija się, jak w lustrze, w dawnej mowie polskiej XVIII wieku. W opowieści „Partenopa“, której akcja odbywa się w w. XVII-ym, język nabiera jędrności i muskularności, właściwej tej epoce. To więcej, niż umiejętność — to rzadki kunszt, którego osiągnięcie powinno być ambicją każdego sumiennego i utalentowanego tłumacza. S. P. O.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Kino i miłość“ komedia w 4 aktach Franciszka de Croisseta, przekład Zdzisława Kleszczyńskiego, reżyserja Al. Węgierki, dekoracje Stan. Śliwińskiego.

„To było na mansardzie paryskiego domu...“ Tak się zaczyna, zrazu pełna blasków wiosennych, później żalona idylla młodego wynalazcy. Gdybyż autor poprzestał na tej facjacie, w której z takim wdziękiem splótł losy trzech paryskich wró-

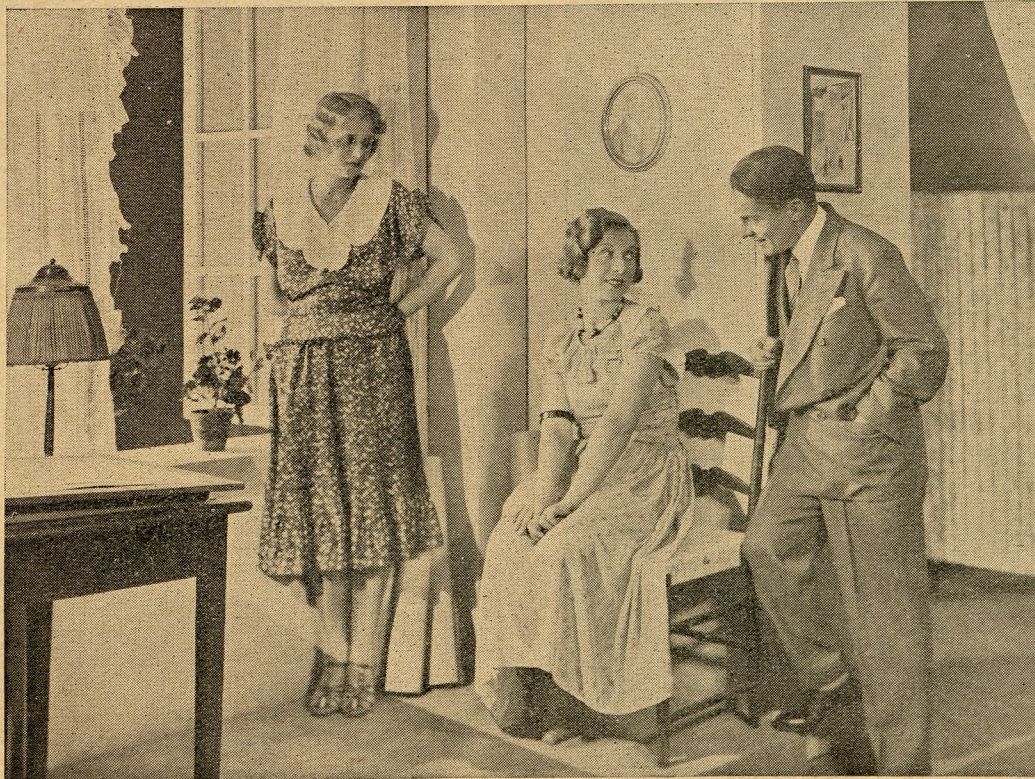
belków, dziobiących okruszyny szczęścia, ćwierkających swoją pieśń miłosną, każdy po swojemu! Ale snobizm nowoczesności kazał mu w drugim akcie przenieść nas do fabryki samochodów, w trzecim do studia radiowego, w czwartym do atelier wytwórni kinematograficznej. Nadmiar przypraw zabił smak potrawy. Okazuje się w końcu, że jej wcale niema — pozostał tylko pseudo-nowoczesny sos. Nie dość jest bowiem choćby najbardziej dokładnie zreprodukować na scenie środowiska nowoczesnego życia i przemysłu, aby tchnąć w sztukę ducha nowoczesności. Przeciwnie, im bardziej autor sili się na pozory, tem jaskrawiej występuje istotne dno jego wysiłków: zużyty, obnoszony, wielokrotnie nicowany szablon komedjowy.

Intryga, zadzierzgnięta w pierwszym akcie odniechcenia płasająca z bulwarowym wdziękiem, lekkością i uśmiechem, w następnych aktach stąpa niezgrabnie, jak kot w butach, potyka się o sztafaż dekoracyjny, w którym jest sztucznie splekana. Autor w pocie czoła mozoli się nad takimi trick'ami, jak np. przeplatanie wyznań miłosnych speakera odczytywaniem reklam w studio radiowym, albo nagrywaniem filmu na tle jego przeżyć przez niewierną kochankę i szczęśliwego rywala. Komedja spada dzięki tym niedźwiedzim chwytom na poziom sketchu. Dewaluacji artystycznej posłusznie ulega i reżyserja. Węgierko, mistrz w prowadzeniu dialogu i konstruowaniu strojów erotycznych, stracił głowę, gdy trzeba było zadyrgować symfonię „nowoczesności“, operować tłumem statystów w atelier kinowym. Zamiast z falowań tego tłumu stworzyć rytmiczne tło akcji, zmieszał z niem swoich bohaterów, zagubił ich bezpowrotnie w płaskim happy end'zie.

Suma wrażeń z całości: niezbyt zręczna reklama Citroena i Philipsa, dużo hałasu o nic. Dziś na wszystko znajduje się wymówkę w kryzysie teatralnym. Niechże tonący chwytą się brzytwy, byle nie kina i miłości jednocześnie.

Trójka aktorów: Romanówna, Lubieńska i Daczyński, ślicznie wycieniowała prelude miłosne w pierwszym akcie, a zgrywała się bezprzykładnie w trzech następnych. Grabowski przeszedł samego siebie, był błaznem i kretynem w trzeciej potędze.

Przekład Kleszczyńskiego swobodny i gładki, ale wolałoby się, by ten świetny feljtonista mniej tłumaczył klasycznych ramot. S. P. O.



Lubieńska, Romanówna i Daczyński. Scena na mansardzie w I-ym akcie komedji: „Kino i miłość“.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

POLSKA PIERWSZA PANI BURMISTRZ.

Podczas kiedy w Anglii, Szkocji i Irlandji bardzo wiele kobiet zajmuje stanowiska burmistrzów w mniejszych i większych miastach, Polska ma dotychczas jedną tylko „burmistrzynie“. Jest nią p. Bolesława Kwiatkowska, która od trzech lat pełni w Chęcinach ku ogólnemu zadowoleniu swe obowiązki. Mamy nadzieję podać wkrótce więcej szczegółów z jej działalności.

ODCZYT POLKI W RUMUNJI.

Na kursach wakacyjnych wolnego uniwersytetu w Bukareszcie wygłosiła wykład polka (korespondentka „Bluszczu“), pani Kastarska-Sergescu, żona profesora uniwersytetu i wiceprzewodniczącego izby posłów, Piotra Sergescu. Pani Kastarska mówiła o wpływie literatury na ruch wolnościowy i odrodzenie Polski.

MAŻ DOBRY I FACH DOSKONAŁY.

Amerykanki, zwłaszcza najmłodszego pokolenia, nie pojmują już życia bez uprawiania jakiegoś zawodu. Ostatnio w stanie New Jersey rozpisano ankietę do maturzystek, na temat: czy wolałyby wyjść za mąż, czy też pracować zawodowo. Odpowiedzi wykazały, że 57 procent dziewcząt woli pracę od zamążpójścia, 45 procent oświadczyło, że zamierzają wybrać jedno i drugie, nie widzą bowiem, aby praca zawodowa przeszkadzała małżeństwu, lub naodwrot. Za życiem bez wyboru jakiegokolwiek fachu nie wypowiedziała się żadna!



Hanna Mioko Miyamoto, pierwsza lotniczka japońska, skacząca ze spadochronem.

DZIEŃ PAŃ DOMU WE FRANCJI.

Francuskie panie domu urządziły niedawno w Paryżu „dzień gospodarski“. Były to dyskusje i obrady, zmierzające do udoskonalenia wszystkich spraw domowych i domowo-zawodowych. Bardzo ciekawe uchwały zapadły w stosunku do pracy domowej kobiet. A więc należy dążyć do tego, aby praca domowa uznana została, jako zawód, traktowany na równi z innymi i tak samo polecany; dalej, aby organizacja metodycznego kształcenia służby domowej ześrodkowana została w ministerstwie pracy; aby czynniki miarodajne zajęły się sprawą fachowego wykształcenia dziewcząt w zakresie gospodarstwa domowego przy szkołach, tak, aby świadectwa z wiedzy, nabytej w tym zakresie, dołączane były do świadectw dojrzałości. Nauczyciele szkół dla obu płci powinni stale wskazywać w swych wykładach na ścisły związek, istniejący pomiędzy ekonomją socjalną, a osobistą i domową. Należy jednocześnie umożliwić nabycie wykształcenia gospodarskiego wszystkim kobietom zamężnym, zwłaszcza znajomość naukowej organizacji gospodarstwa i kierowania personelem służbowym.

Z drugiej strony organy opieki społecznej powinny czuć nad tem, aby dziewczęta, wychodzące z jej zakładów, nie były ryczałtowo i mechanicznie kierowane „do służby“, lecz by starano się rozpoznać ich uzdolnienia i dane do wykonywania i innych zawodów, na podstawie badań psychotechnicznych. Pewien zakres wiadomości gospodarskich muszą mieć również pielęgniarki i higienistki.

Dalsze uchwały „dnia gospodarskiego“ dotyczyły organizacji tanich mieszkani i ustawodawstwa dla służby domowej.

ZNÓW KOBIECA WYSTAWA.

Miasta szwajcarskie zaczynają wybierać sobie specjalizacje reprezentacyjne: Genewa — Liga Narodów, Bern — wystawy. Można przytem stwierdzić z zadowoleniem, że większość tych ostatnich poświęcona jest sprawom, najbliższej obchodzącym kobiety. Po słynnej „Saffie“, po zeszłorocznej wystawie mieszkaniowej, otwarto teraz w Bernie „Hyspę“ (Hygienische Schweiz-austellung für Hygiene und Sport).

Higijena i sport nie są wprawdzie atrybutami wyłącznie kobiecymi, ale zato nastawienie wystawy idzie wybitnie w kierunku zainteresowań kobiet, matek i gospodyń.

A więc przede wszystkim ogród dziecięcy. Rozplanowany nietyle jako wzór tego rodzaju zakładów, ile jako prawdziwy przybytek dzieci na wystawie. Matki zwiędające mogą tu zostawiać swoich malców pod opieką wychowawczyń.

Dalej wzorowa restauracja dietetyczna i jarska, pod kierunkiem kobiety, pani Russbaum, potem zaś cały szereg ciekawych pawilonów z zakresu higijeny. Niezmiernie ciekawa i nowoczesna grupa eksponatów, wykresów i tablic z dziedziny higijeny umysłowej i psychicznej, specjalne tablice pouczające dla rodziców i wychowawców o chorobach zakaźnych, o higijenie zębów, higijenie wieku dziecięcego i młodzieży; wreszcie wzorowy, żywy, bo stale funkcjonujący, żłobek.

Dalej eksponaty higijeniczo-gospodarcze: gospodarstwo mleczne, owocowe i winne; higijena ubrania i mody, higijena pracy i jej ochrona, wreszcie sporty: dziecięcy, młodzieży, kobiecey i ogólne. Jak w „Saffie“, jak w wystawie mieszkaniowej, tak i w zorganizowaniu „Hyspy“ widać poważny i fachowy, wydatny udział pracy kobiet.

WRÓG POCAŁUNKÓW PRZYBYWA.

A jest taki na świecie! Nazywa się Vaghan-Craster, praktykuje jako lekarz w Nowym Jorku i zarzucił całe Stany Zjednoczone swemi broszurami i plakatami, zawierającymi energiczne i naukowo umotywowane potępienie pocałunków. „Nie całuj mnie, ja pragnę być zdrow!“ Tak brzmi zredagowany przez dr. Crastera protest dzieci przeciwko pocałunkom, zdobiący ściany lecznic, schronisk, żłobków, szkół, drzewa i sztachety parków. Nie można temu twierdzeniu odmówić pewnej słuszności. Każda rozumna i uświadomiona higijenicznie matka nie pozwoli napewno całować swego dziecka osobom obcym. Wiemy, że organizm dziecięcy jest o wiele wrażliwszy, niż dorosły, i łatwiej

chlonie, a trudniej przewycięża bakterje chorobotwórcze. Ale jeżeli kultura, savoir vivre dorosłych, wreszcie pilna opieka mogą ustrzec dziecko od pocałunków obcych, jak uniknąć bliskich, rodziny? Jak przykro odmówić możliwości ucałowania ślicznego, drogiego maleństwa babci, ciociom! A z drugiej strony nieraz dreszcz przechodzi: osoby starsze, schorowane, z zesutemni zębami, z chronicznym kaszlem, z rozlicznymi defektami całują dzieci! Wtedy, gdy najzdrowsze nawet usta mogą, przez proste dotknięcie, zaszcześcić dziecku jakieś drobnoustroje, które przylgnęły do ich warg z powietrza. Trudno wobec tego odmówić słuszności propagandzie dr. Crastera, który, po dłuższej agitacji w Ameryce, przybywa teraz do Europy, z szeregiem odczytów, demonstrujących niebezpieczeństwo pocałunku.

Całować się ostatecznie można, twierdzi ten lekarz, ale po bepośrednio starannem wymyciu jamy ustnej i wypłókanui jej jakimś płynem dezynfekcyjnym. Dla rodziców i dzieci nie jest to takie trudne. Po rannej kąpeli, sumiennem wymyciu całego ciała, ust i zębów, wyściskać, wycalować dzieciaki i koniec... do wieczora, kiedy znów, po tualecie przednocej, można powtórzyć to samo. Gorzej z gośćmi, ci jednak powinni stanowczo zrozumieć, że dzieci całować nie wolno.

ANGIELSKA PRZYJACIÓŁKA GHANDIEGO.

Anglja nie przestaje mieć kłopotów z Ghandim. Załatwiono już wprawdzie jako tako „dyferencje“ polityczne, ale zaczęły się inne. Ghandiego zaproszono na t. zw. konferencję „okrągłego stołu“, wielki kongres przedstawicieli dominjów brytyjskich, mający się odbyć we wrześniu w Londynie. Naturalnie, że anglikom zależy bardzo na tem, aby prorok narodowy, budowniczy odrodzonych Indji, wziął udział w tych obradach, byłoby to niejako zadokumentowaniem jego sojuszu i współpracy z koroną angielską. Ghandi w zasadzie zgodził się nawet przybyć na konferencję, ale z wizytą jego, budzącą olbrzymie zainteresowanie, dzięki egzotyczności gościa, jest nie mały kłopot. A więc przedewszystkiem wizyta na dworze królewskim. Ceremonja przyjęcia w Buckingham palace wymaga fraka, Ghandi zaś stoi niewzruszenie przy swoim kostjumie narodowym. Jest to, jak wiadomo, szata lniana, kroju mocno przypominającego koszulę. Jak Anglja Anglja, nikt chyba jeszcze przed królem tak nie stawał!

Drugą trudnością jest pomieszczenie Mahatmy Ghandiego, przyzwyczajonego do sypiania na powietrzu i codziennej kąpeli. Zdawałoby się, że w Londynie nie może być kłopotu z kąpielą, ale Ghandi nie kąpie się w łazience, tylko w rzece. Można więc sobie wyobrazić, jak trudno będzie mu kąpać się codzień w Tamizie. Połowę tych przeszkód usunięto, dzięki interwencji kobiety, Miss Lester, wielkiej przyjaciółki Ghandiego. Panna Lester mieszka od szeregu lat w najuboższej dzielnicy Londynu, w Eaert-End, gdzie jest opiekunką wszystkich ubogich. Podróżując przed kilku laty po Indjach, miss Lester poznała Ghandiego i odtąd koresponduje z nim stale, obecnie zaś ofiarowała mu gościnę u siebie. Jest to skromne mieszkanie, ale posiada ogród, gdzie Mahatma będzie mógł spędzać wolne godziny, i taras, na którym będzie sypiał. Miss Lester postarała się nawet o kozę, gdyż Ghandi pija wyłącznie kozie mleko, i o opiekę nad gościem jednego z doskonałych lekarzy, hindusa, zamieszkałego w Londynie. Zato lekarz angielski w Indjach oświadczył, że zamiar wyjazdu Ghandiego od Anglji jest szaleństwem, gdyż wielki hindus nie będzie mógł znieść londyńskiego klimatu.

NASZA OKŁADKA.

Okladka w Nr. 35 „Bluszczu“, wykonana według akwareli Edmunda Bartłomiejczyka przedstawia „Krajobraz z Huculszczyzny“.



Taki uniform noszą kelnerki amerykańskiego samolotu pasażerskiego.

A IŻ CIĘ NIE OPUSZCZĘ AŻ DO ŚMIERCI, KRZAKU RÓŻANY.

„że mogłaby się kochać sercem w białej róży“, powiedział poeta, jako określenie wielkiej, a czystej uczuciowości. Otóż ta fantazja poetyka posiada swoje ciekawe ucieleśnienie w obyczajach niektórych ras. Wiemy, że w Indjach celibat jest dla kobiety nie tylko przekleństwem, ale prosto niemożliwością. Niema tam i nie może być kobiet niezamężnych. Hindusi wierzą, że rodzice, którzy umarliby, nie zapewniwszy losu córki w małżeństwie, będą na wieki potępieni. Ta właśnie wiara doprowadziła do strasznych nadużyć ślubów małoletnich, obecnie zabronionych przez prawo, pod rządami angielskimi, ale praktycznie jeszcze, niestety, niezupełnie wyępionych. Czasem jednak ten dziwaczny zabobon religijny omijany bywa w sposób tak poetyczny, że mógłby on być natchnieniem dla największego romantyka. Kobieta, zaślubia drzewo, lub kwiat! Dzieje się tak, jeżeli ojciec umiera, nie zdążywszy wydać zamaż córki, albo gdy narzeczona traci narzeczonego przed ślubem, a nie chce potem wyjść za innego. Wtedy odbywają się uroczyste, symboliczne zaślubiny z poświęconem drzewem, lub krzakiem pousowej róży, symbolem wiecznej, gorącej miłości. Zaślubiona, o ile straciła narzeczonego, uważa się za wdowę i dochowuje wierności pamięci zmarłego; o ile jest małżonką kwiatu, położenie jej jest jeszcze lepsze, używa bowiem wszystkich praw kobiety zamężnej, bez żadnych obowiązków.

ZAKOPANE—BRISTOL

Adres:

Hotel Bristol, Zakopane.—Tel. 315.

Najtańszy reprezentacyjny hotel-pensjonat. Zaczisne, zdrowotne i malownicze położenie nad potokiem. Idealne warunki wypoczynkowe—pierwszorządny komfort.

CENY BARDZO UMIARKOWANE.

580

NASZA MÓWNIKA

Zabieram głos i proszę o wypowiedzenie się.

Przeżywamy kryzys ekonomiczny, którego rezultatem zmniejszenie poborów urzędniczych, zastój w handlu, rzesze bezrobotnych, głodnych. Opanowanie kryzysu wymaga wielu czynników, jak również wymaga czasu. Głodni zaś, bezdomni, czekać nie mogą. Głód jest złym doradcą, zwłaszcza, że u nas w kraju niepomyślnie konjunktury wyzyskiwane są przez wrogi żywioł na wywrotową agitację. Ślady tej niszczycielskiej roboty dają się wyraźnie wyczuwać. Jeżeli nawet nie przez chęć ulżenia cierpiącym, to przez dobrze zrozumiany własny interes, musimy głodnym przyjść z pomocą, pamiętając, że o ile nie podzielimy się z potrzebującymi chlebem dobrowolnie, to może być on nam odjęty siłą!

Pomoc jednostek, choćby najzamożniejszych i najbardziej ofiarnych, byłaby zbyt nikła wobec morza nędzy. Każdy dom powinien być placówką, broniącą kraj przed wewnętrznym wrogiem-głodem i jego niemniej groźnymi następstwami. Aby kryzys minął spokojnie, bezboleśnie, musimy zorganizować powszechną akcję niesienia pomocy najbiedniejszym. Wszysey bez różnicy wieku, płci i przekonań, wszyscy, którzy mogą, i my nawet, którzy nie możemy dać sobie rady z okrojonymi poborami...

My, kobiety, szafarki dóbr materialnych, panie domu, musimy zwiększyć wydajność pracy, zapobiegliwość, oszczędność, aby nie tylko zaspokoić niezbędne potrzeby naszych najbliższych, ale móc ofiarować cokolwiek głodnym. Zdaje mi się, że byłoby dobrze w tym celu stworzyć t. zw. „domowe komitety“, zresztą zależy to od lokalnych warunków; może też w dyskusji, którą chciałabym wywołać, wylonią się bardziej praktyczne plany.

Musimy nad całą tą sprawą zastanowić się i śpiesznie działać, by jeszcze przed zimą zorganizować cały aparat niesienia pomocy najbardziej potrzebującym.

Zwracam się tu do naszych posłanek z prośbą, by uzyskały dla najuboższych prawo korzystania z bezpłatnego, lub za małą opłatą, opału (zbieranie patyków, kopanie karpiny) z lasów państwowych. Ulży to niedoli wielu ludzi z jednej strony, a z drugiej zmniejszy niechęć do urzędników leśnych, jako strażników tegoż lasu.

M. G. z Kieleckiego.

Trzeba zreformować (w odpowiedzi p. Mossoczowej).

Poruszona przez P. Mossoczową sprawa oszczędności chyba dość głośnym echem odbiła się w gronie czytelniczek i zyskała przychylną krytykę. Uważam, że w zreformowaniu gestu, cechującego nas, Polaków, w szczególny sposób, gestu „zastaw się, a postaw się“, oraz w walce z tem złem skutecznie mogą działać kobiety, jako istoty, stojące najbliżej budżetu domowego. Ten, jak zaznaczyłam wyżej, czysto polski gest obecnie w fatalny sposób odbija się dotkliwie nie tylko na poszczególnych jednostkach, ale i na całym społeczeństwie. Czasy są tak ciężkie, warunki, wytworzone kryzysem gospodarczym tak nie normalne, że do uzdrowienia ich stanąć winniśmy wszyscy, skupiając siły do skutecznej walki. Zastanówmy się więc, czy urządzanie wszeikiego rodzaju hucznych biesiad z racji przyjazdu obcych dygnitarzy, czy dla własnej zwierzchniej władzy ma dzisiaj sens? Po głębokim przemyśleniu, po przeanalizowaniu powiemy jednogłośnie: „nie“; tak sędzę przynajmniej.

Pani Mossoczowa wypowiedziała się w swoim artykule o wydawaniu w sposób nieobliczalny grosza publicznego, ja zaś chcę poruszyć kwestję wydawania pieniędzy własnych, z trudem zapracowanych. Rzecz bowiem charakterystyczna, że najmniej z podobnymi wydatkami liczy się pracująca inteligencja, osoby, którym grosz przychodzi z trudem, a wydawa-

ny jest z szerokim, wersalskim gestem. Odywam się w tej materji jedynie dlatego, że często nie mogę wyjść z oburzenia, jak urządzane bywają huczne przyjęcia, związane w lwiej części z pożegnaniem zwierzchniej władzy. Brać urzędnicza (bo narazie o tej się wypowiadam) wybiera z pośród siebie komitet, który biega zaaferowany, robiąc dużo szumu i zamętu, i ściągając składki, wydzierając często wprost z pod serca ostatnie złotówki, bo uchylić się jakoś nie wypada. Często te ostatnie 20 zł. decydują o proteście weksła, bo akuratnie takiej sumy brakowało na wykupienie, albo powodują kilkudniowe głodowanie całej rodziny aż do 1-go, a już zawsze gorycz i refleksje spóźnione, żeby tak choć o kilka zł. mniej! Ale mniej nie wypadało dać, trzeba się było postawić, choćby kosztem zwiększenia długów, kosztem żołądka — no, raz się wreszcie żyje...

Może byłoby to i niezłe, ale w normalnych czasach; w czasach, kiedy człowiek pozwalał sobie na więcej przyjemności, nie będąc w kolizji z własnym budżetem, w czasach, kiedy nie spotykało się całych rzeszy głodnych i bezrobotnych. Ale dziś... dziś zamiast wydawać ciężko zapracowany grosz na zbędne uczty, które rzekomo mają być wyrazem uczuć dla zwierzchników, a przeważnie mają fałszywe podłoże, lepiej zrobimy, gdy zebrane składki oddamy na cele społeczne, które są niewyczerpane. Bo czyż panom zwierzchnikom tak zbytnio zależy na wypiciu szlachetnych trunków i zjedzeniu wybornej kolacji? Sądzę, że nie, a z pewnością większą dla nich byłoby radością, gdyby grono „miłujących“ pracowników, czyniąc zadość uczuciom i formom, wręczyło bohaterowi chwili więzankę kwiatów wraz z pewną zebraną kwotą, przeznaczoną na jakiś cel społeczny, np. na walkę z gruźlicą lub temu podobny. Zaznaczyć można w krótkim przemówieniu, że życzeniem wszystkich pracowników jest, aby pamięć o ukochanym szefie na długo pozostała w umysłach, a tylko jakiś dobry czyn zagwarantuje miłe wspomnienie. W ten sposób otarłoby się niejedną łzę zbolalej matki, ratując jej dziecię od gruźlicy, lub głodu, i miałyby się napewno większe zadowolenie, niż z biesiady pożegnalnej.

A jak podczas tych biesiad, gdy Bacchus weźmie grono wyfraczonych zebranych w swoje posiadanie, sypią się, jak z rogu obfitości, płomienne, a nieszczerze mowy! Po co takie komedje bezcelowe?

Temu złu trzeba zapobiec i tu znów pole do działania dla pań, które zawsze są zdolne wywrzeć dobry wpływ i podsunąć zbawienny projekt.

Krasnystaw—Pola Pantomska.

„Projekt“ (w odpowiedzi p. Zofji Zembrzuskiej).

Z niemalą radością odnalazłam w „Naszej Mównicy“ „Bluszczu“ duszę pokrewną.

I ja od lat młodzieńczych z dzieł Marji Rodziewicz stworzyłam sobie narodowy katechizm, a najgorętszym moim pragnieniem zawsze było — ujrzeć i posłyszeć Ją kiedyś.

Przeżyłam gorąco opisy uroczystości, związanych z Jej jubileuszem — niestety — mogłam sobie tylko rzec: „radaby dusza do raju“.

Te, w pojęciu mojem, krzywdy losu, wynagradzałam sobie uzupełnieniem Jej dzieł i dziś cieszę się ich kompletem.

Postanowiłam osobiście złożyć dostojnej Literatce — za hojnie rozdawane „klejnoty“ jej duszy — wdzięczny hold mej duszy i serca.

Pod wpływem jej dzieł i wizyty u niej, którą w oddzielnym liście opiszę, powstał w moim umyśle projekt, który pani z pod serca wyjęła. Na jego zew staję do apelu, nie, jako stara panna, ale jako człowiek wolny.

O pomocy i radę w sprawie „Projektu“ proponuję — abyśmy zwróciły się do Szanownej Redakcji „Bluszczu“, która swoim autorytetem więcej zrobić może i w czyn oblecze nasze najgorętsze pragnienia.

Marja Satkowska—Sędziszów N/R.

ODZNAKA DLA ZWYKŁYCH ŚMIERTELNICZEK

Jeżeli młoda dziewczyna zaczyna uprawiać jakiś sport, to bardzo często w duszy jej tai się marzenie o wielkich wynikach, o sukcesach, które uczynią jej imię sławnym w świecie sportowym. Jest młoda, ma szesnaście lat — przed nią jest przyszłość. I nikt nie dziwi się temu, że młoda dziewczyna idzie na bieżnię i boiska.

Kiedyś jednak zwróciła się do mnie kobieta trzydziestoletnia, wyrażając chęć uprawiania lekkiej atletyki. Podobały się jej rzuty dyskiem i oszczepem, chciała trenować biegi. Oddałam ją na naukę jednej z lekkoatletek. Młoda gwiazda zdziwiła się niepomiernie:

— Pocóż ona się bierze do lekkiej atletyki, kiedy nie będzie miała żadnych wyników, napewno nie pobije żadnych rekordów?!

Młoda gwiazda, która na boisko przyszła dla sławy, nie mogła zrozumieć, że ktoś przyszedł na to samo boisko tylko dla przyjemności, jaką człowiekowi zdrowemu dają pewne określone formy ruchu.

Ale nie każda kobieta ma tyle cywilnej odwagi, żeby iść w szeregi sportujące, wiedząc zgóry, iż wyniki jej dalekie będą od ustalonych rekordów. Spotykałam nawet młode dziewczęta, które mówiły mi:

— Nie będę uprawiała sportu! Konopacką i tak nie zostanę, pocóż więc mam się trudzić, kiedy wiem, że nigdy żadnego pierwszego miejsca nie zdobędę?

I takich dziewcząt (a pewno i chłopców) było dużo, bardzo dużo. Uprawianie sportu bez żadnych odznaczeń nie pociągało ich.

I w tem tkwił jakiś błąd, jakieś nieporozumienie. Do ćwiczeń cielesnych garnęły się tylko jednostki wybrane, rokujące t. zw. nadzieje sportowe, albo też panie nieco już starsze, którym lustra lub krawcowe powiedziały, że znajdują się w obliczu niebezpieczeństwa utraty... linji i młodzieńczego wyglądu. A przecież o tem można było pomyśleć zawczasu.

Na szczęście, życie przyniosło nam nową możliwość. Jest nią ogłoszone przez Radę Ministrów rozporządzenie o Państwowej Odznace Sportowej. Odznakę tę może otrzymać „każdy nieposzlakowany obywatel polski, który ukończył 14 (osoby płci żeńskiej—16) lat życia i poddał się z dodatnim wynikiem okresowej próbie sprawności fizycznej”.

Tak więc każda z nas, bez względu na wiek, może osiąść odznakę, która da nam obiektywne stwierdzenie, że jesteśmy w pełni sił i sprawności fizycznej. Kobiety naogół nie palą się tak do wszelkich odznaczeń, jak mężczyźni, ale myślę, że ta odznaka zrobi każdej z nas ogromną przyjemność.

Przyjrzyjmy się więc tej odznace. Wymagania są, oczywiście, różne dla każdego wieku i w tym celu kobiety podzielone są na sześć następujących kategorii:

kategoria	K—A	od 21—30 roku życia włącznie.		
„	K—B	od 19—20	„	„
„	K—C	od 17—18	„	„
„	K—D	od 31—40	„	„
„	K—E	od 41—50	„	„
„	K—F	od 51	„	„

Od kategorii A wymaga się najwięcej, dla innych wymagania te stopniowo się obniżają.

Nie będę wchodziła w szczegóły, kiedy dostaje się odznakę brązową, a kiedy srebrną lub złotą; pomnę też narazie sprawę ubiegania się o odznakę, a zajmę się dziś jedynie tem, czego odznaka wymaga od kandydatki. Jeżeli bowiem chcemy zdobyć odznakę, musimy przedewszystkiem zająć się jej programem.

Program składa się z sześciu grup, z każdej grupy należy wykonać jedno ćwiczenie.

Pierwsza grupa obejmuje gimnastykę lub pływanie. Należy więc albo wykonać poprawnie lekcję gimnastyki, albo przepłynąć stylem dowolnym 100 (dla kategorii E i F—50) metrów w czasie dowolnym. Muszę dodać, że program lekcji gimnastyki nie należy do najłatwiejszych i wymaga poprzedniego treningu.

Grupa druga obejmuje skok wdal lub wzwyż. Dla grupy A wymaga się 2 metrów 95 cm, przy skoku wdal, a 95 cm, przy skoku wzwyż. Następne grupy są odpowiednio niższe, tak, że np. grupa D (kobiety od 31—40 lat) muszą osiągnąć 2 m. 75 cm. wdal, lub 85 cm. wzwyż. Są to wymagania b. niskie, gdyż przeciętnie każda kobieta po niedługim treningu powinna to minimum osiągnąć.

Trzecia grupa obejmuje biegi, pływanie, lub jazdę na łyżwach. Kobieta z kategorii A ma tu do wyboru: bieg 60 metrów w 10 sek., przepłynięcie 100 metrów w 2 min. 40 sek., lub przejechanie 500 metrów na łyżwach w czasie 1 min. 45 sek. Zadania te wymagają starannego treningu. Dla kobiet ponad 30 lat wymagania są już o wiele łatwiejsze, gdyż program przewidywał brak treningu u współczesnych kobiet.

Grupa czwarta obejmuje rzuty i strzelania. Mamy tu więc do wyboru: rzut dyskiem, oszczepem, kulą czterokilogramową, piłką palantową, piłką dętą, strzelanie z łuku, strzelanie z broni krótkiej „B”, z broni małokalibrowej na 25 metrów lub na 50 metrów. Przy rzutach bierze się pod uwagę wynik sumaryczny rzutu ręką prawą i lewą. Dla orientacji podam, że np. w rzucie dyskiem w kategorii A wymaga się sumy 30 m., w kuli — 9 metrów.

Grupa piąta obejmuje sporty turystyczne i biegi, stawiając dość łatwe zresztą wymagania. Kobiety mają tu do wyboru: marsz 5 klm., dwu lub trzydniową wycieczkę pieszą, bieg 800 m., bieg narciarski 5 km., bieg łyżwiarski 1000 m., pływanie 400 m., lub wycieczkę wioślarską. Czasy, wymagane przy każdej z tych konkurencyj, nie są zbyt trudne, potrzebują jednak treningu.

Wreszcie grupa szósta wymaga uprawiania

dwóch (w wieku ponad 40 lat — jednej) gier sportowych, a więc np. siatkówki, koszykówki, hazeny.

Ze wszystkich tych wymagań widzimy jasno, że zdobycie odznaki jest wprawdzie dość łatwe, ale wymaga stałego treningu. Nie wystarczy do niej uprawianie sportów raz na dwa lata, t. zn. w okresie próby. I na tem właśnie polega społeczne znaczenie odznaki sportowej — ma być zachętą dla mas do uprawiania ćwiczeń cielesnych. Jak zabrać się do tych ćwiczeń — pomówimy później. *W. Prażmowska.*

NOWOCZESNE STOŁY I BIURKA

Stoły o ciężkich rzeźbionych nogach, podobnie jak i ogromne szafkowe biurka, o wymyślnych ozdobach i gzymsach, służące za lamus dla drobiazgów domowych, zatracają stopniowo swój urok i rację bytu w naszych mieszkaniach.



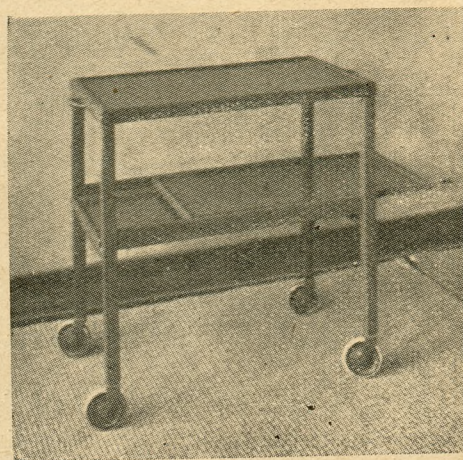
Nieduży stół jadalny z dodatkowym stolikiem.

Wymiary ich już nam nie odpowiadają, jak również nie zadowala nas sposób ich wykończenia.

W obecnych czasach, gdy jeden i ten sam pokój służy najczęściej do kilku celów, nie możemy sobie pozwolić na wstawianie zbyt dużych stołów, obliczonych na wielkie przyjęcia, a nie na codzienny użytek. Również nie mogą nadal zdobić naszych ciasnych mieszkań ogromne biurka reprezentacyjne, świadczące o rzekomej powadze pana domu i bogactwie umeblowania.

Z tych względów wielkiem powodzeniem cieszą się stoły rozstawiane, a jeszcze bardziej stoły i biurka o podnoszonych i opuszczanych klapach lub wysuwanych blatach, które są tak wygodne w użytkowaniu, a przytem łatwo dają się wstawić w każdym najmniejszym mieszkaniu.

Znormalizowane stoły nowoczesne, produkowa-



Stolik na kółkach o dwu wysuwanych blatach.

ne masowo, pozwalają na rozwiązanie tej sprawy w inny sposób.

Chcąc mieć na codzień stół jadalny, obliczony tylko dla domowników, wstawiamy do mieszkania nieduży stół, powiększając go przez dodanie innego w razie potrzeby.

Stół dodatkowy może stać w drugim pokoju i służyć do innego celu.

Chociaż nie mamy jeszcze znormalizowanych stołów na rynku, możemy, zamawiając nieduży stół jadalny, pomyśleć jednocześnie o stole dodatkowym. Przytem stół ten może być mniejszy. Jedynie wysokość i szerokość winna odpowiadać pierwszemu. Wysokość nowoczesnych stołów jest znacznie niższa od dawnych, więcej dostosowana do naszego wzrostu i sposobu trzymania się przy stole (od 70 — 75 cm.). Nogi stołów są gładkie, bez ozdób. Często mają formę spłaszczoną, lub są wykonane ze stalowych rur. Dzięki temu meble są lekkie i łatwo przestawne.

Blaty stołów są wykończone bardzo starannie. Gładka politura, linoleum, płyta szklana lub z masy — stanowi ich pokrycie.

Dają one i tę wygodę, że podczas jedzenia można obywać się bez obrusa, używając wzamian serwetek. Są przytem higieniczniejsze.

Często mały okrągły lub kwadratowy stół uzupełnia stolik o podwójnym blacie, przeznaczony do



Stolik o podwójnym blacie, kryty szkłem opalowym.

stawiania przystawek, podgrzewacza elektrycznego, maszynki do kawy i t. d.

Pod tym względem najpraktyczniejsze są małe stoliki na kółkach, łatwe do przesuwania z pokoju do kuchni.

Zresztą stolik o podwójnym, potrójnym, a często poczwórnym blacie oddaje wielkie usługi w każdym pokoju. Jest mały, a zarazem bardzo pakowny. Daje więc możliwość dowolnego użytkowania przy wszelkich rodzajach pracy, wykonywanej w domu, a również i podczas przyjęć.

Pomimo że stoliki te służą do całkiem praktycznych celów, mogą być ozdobą każdego mieszkania.

Oryginalny kształt, zależnie od materiału, z jakiego stolik jest wykonany, i pomyslowe rozplanowanie płaszczyzn, a przede wszystkim żywa barwa, tak rzadko stosowana do dawnych mebli drewnianych — czyni

z nowoczesnych stolików prawdziwe cacka! Przy nowoczesnych biurkach podobną rolę pomocniczą odgrywają różne półki i półeczki, ruchome lub wmurowane.

Pozwalają one na rozczłonkowanie funkcji biurka. Dzięki nim, biurko może służyć obecnie wyłącznie do pisania i pracy oraz do przechowywania nielicznych teczek i ważnych papierów. Książki i zeszyty mają właściwe miejsce na półkach, cały zaś balast różnorodnych przycisków, figurek i bronzów, ciężkich kałamarzy na marmurowych podstawkach, dublikaty pamiątkowych popielniczek i noży do rozcinania — wszystko to również znikło z nowoczesne-



Biureczko nowoczesne z wysubnym blatem, wykonane przez „Meko” — Warsz. Wytw. mebli kolorowych.

go biurka, podobnie, jak znikły niepotrzebne graty z nowoczesnego mieszkania.

Dzięki takim zmianom, wygodne i praktyczne biurko może być meblem miłym i estetycznym, nie zajmując zbyt wiele miejsca.

Atrament do pisania przechowywany jest w małych kałamarzach, ukrytych pod szklaną tafelką, co jest bardzo wygodne i estetyczne. Atrament nie wysycha, nie grozi rozlaniem przy lada nieostrożnym ruchu, a praca przy okurzaniu biurka jest zredukowana do minimum.

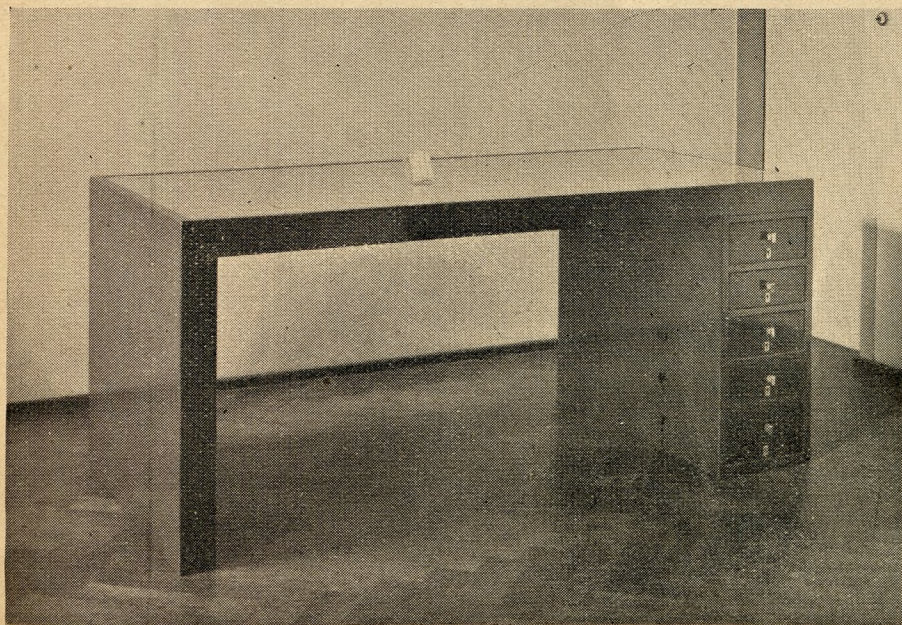
Rozpowszechnienie wiecznych piór i ich potanie nie pozwoli z czasem na zupełne wyrugowanie tego anachronizmu. Nawet telefon, któremu tak „do twarzy” na biurku, usuwany jest obecnie z jego powierzchni. Stawia się go obok na małym stoliku, lub na specjalnej półeczce, przymocowanej z prawej strony biurka.

Chodzi o to, by cała powierzchnia biurka była wolna od pracy, dając możliwość należytego skupienia się.

Wykończenie nowoczesnych biurk jest solidne i estetyczne. Kosztowne drzewo nie obowiązuje. Ładne i praktyczne biurko może być wykonane ze zwykłej sosny i pokryte lakierem.

Najczęściej stosuje się lakier w dwóch kolorach dla podkreślenia kompozycji.

Piękne też są stoły i biureczka bejcowane w żywych kolorach, lub utrzymane w barwie naturalnej.



Biurko nowoczesne lakierowane z płytą kryształową — firmy „Meko”.



Biurko lakierowane w 2-ch kolorach z kalamarzami, ukrytymi pod tafelką szklaną.

Zagranicą rozpowszechnione są biurka, wsparte na nogach ze stalowych rur. Są one lekkie i dają się łatwo przesuwac. Są przytem tańsze, gdyż nie wymagają masywnego drzewa.

Ładne biureczka i stoliki ze stalowych rur, łączone z jaworem, zostały ostatnio wykonane wraz z całym umeblowaniem dla rezydencji Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, zbudowanej w stylu nowoczesnym, w Wiśle na Śląsku. Należy przypuszczać, iż dzięki temu meble stalowe, które nie miały dotychczas u nas powodzenia i nie cieszyły się wielkim zainteresowaniem samych architektów, zyskują wreszcie prawo obywatelstwa, jako meble niepozbawione cech piękna, lekkie, tanie i dające się produkować masowo.

Janina Ginett-Wojnarowiczowa.

GATUNKI GRZYBÓW I RACJONALNA ICH EKSPLOATACJA

W racjonalnej eksploatacji grzybów największą trudność sprawia dotychczas mniemanie, iż większość grzybów naszych jest trująca. Prostując to, zapewniam, że gatunków trujących rośnie u nas zaledwo 30, gdy poznanych dotąd jako jadalne i wysokowartościowe posiadamy bez mała 600. Jak więc widzimy, grzyboznawstwem w Polsce zająć się warto pod warunkiem, że się wprzód pozna dokładnie gatunki trujące. Lekcję taką bez ilustracji, i to barwnych a doskonale wiernych, przeprowadzić trudno. Ograniczyć się zatem tu musimy przede wszystkim do gatunków grzybów najbardziej niebezpiecznych, powtóre do cech i różnic najbardziej charakterystycznych.

W pierwszym rzędzie zajmijmy się pospolitym czerwonym muchomorem, którego zna każdy i którego najniesłuszniej o najgroźniejszą jadowitość posiadamy. *Muchomor* czerwony zawiera jednak trujący

alkaloid, nazwany muskaryną, jedynie w czerwonej skórce kapelusza i czerwono zabarwionych pod nią cienkich warstewkach białego mięsa. Muskaryna działa ściągająco na naczynia krwionośne, stąd wywołuje przede wszystkim zaburzenia mózgu, wreszcie ślepotę i śmierć wskutek paraliżu mięśni klatki piersiowej.

Największą stosunkowo ilość muskaryny zawiera mało znany dotąd w Polsce niewielki grzyb o kapeluszu dzwonowatym, raczej stożkowatym, o trzonku krótkim, krągłym i o blaszkach szarawo-ceglastych, cały zresztą barwy gliniasto czerwonej, o zapachu i smaku odświeżającym, przyjemnym, owocowym. Jest to najgroźniejszy z naszych grzybów — *włókniak ceglasty* (*Inocybe lateraria*), rosnący od czerwca aż do jesieni w wysokich trawach parków, zwykle gromadnie, najczęściej u stóp lip, ale tylko w lata mokre. Spożycie najmniejszej nawet ilości tego grzyba sprządza w kilka godzin śmierć z uduszenia się, po okropnych przedtem męczarniach skutkiem nagłej prawie ślepoty, duszności, niedowładu i t. p.

Muskarynę prócz tego zawiera rzadki zresztą, choć śmiertelnie trujący, piękny, nadęty, wyraziście czerwony *grzyb szatański* (podobny układem do borowika), wreszcie pospolicie znany i powszechnie w Polsce jadalny *siniak*. Od dziś należy pamiętać, że siniak może być bardzo niebezpieczny ze względu na zmienną zawartość muskaryny, jako też i zmienną zawartość grzybowej atropiny. Alkaloid ten, również silnie trujący, znany zresztą powszechnie jako środek upiększający wyraz oczu, a dla celów leczniczych czy tualetowych wydobywany z wilej jagody, jest niezmiernie silnym przeciwnikiem chemicznym muskaryny. Przy zatruciach muskaryną (t. j. muchomorem czerwonym, włókniakiem ceglastym, grzybem szatańskim czy wreszcie siniakiem) wystarczy odpowiednia iniekcja atropiny, aby zatrutemu w kilka minut przywrócić zupełne zdrowie.

Poza tem najgroźniejszym grzybem jest zbyt mało u nas obserwowany, a przecież niezmiernie pospolity muchomor bulwiasty w trzech odmianach: zupełnie biały, żółtawy i zielonawy. Pomijając odmianę żółtą, nie posiadającą wśród grzybów, powszechnie zbieranych, sobowtóra jadalnego, zwrócić musimy baczniejszą uwagę na odmiany białą i zieloną. Pierwsza to *Amanita verna*, sobowtór pieczarki polnej. Działanie jego straszne zilustruje najlepiej tragiczny fakt, jaki się wydarzył w r. 1918 w Bierzplinie pod Wrześnią w Wielkopolsce. Bawiła tam wówczas wakacyjna kolonja szkolna z Niemiec, licząca 31 chłopców w wieku od 10 do lat 14-tu. Przez całe wakacje raczyli się oni smakowitemi pieczarkami, zbieraniem obficie po deszczach na okolicznych podleśnych łąkach. Niemal w przeddzień odjazdu, nazbierawszy po ciepłym deszczu młodych rzekomo pieczarek niezwykle dużo, oddali je, jak zwykle do kontroli nauczycielki niemki i kucharki polki. Te, odbywszy z grzybami, jak zawsze, najściślejszą próbę przy pomocy srebrnej łyżki i cebuli, stwierdziły, że grzyby są dobre. Chłopcom podana potrawa tak smakowała, że dla nauczycielki i kucharki nie pozostało ani odrobiny. I to właśnie je ocaliło; wszystkich 31 bowiem chłopców w 8 dni później pochowano na miejscowym cmentarzu!

Niemcy — i zresztą świat cały — opisując ten okropny fakt, (tłustym drukiem) winę całą przypisali jedynie owej kucharce polskiej. Mieli słusność, niestety, o tyle, iż nie nauczono nas dotąd w szkołach, że sprawdzanie dobroci grzybów przez srebro czy cebulę jest jedynie ciemnym, okropnym przesądem!

Jadowitość muchomorów bulwiastych polega na

t. zw. amanitynie i fallinie, z których druga powoduje w organizmie szybki rozpad czerwonych ciałek krwi czyli t. zw. hemolizę. Przeciwniej medycyna nie zna dotąd środka, zatem spożycie muchomor bulwiastego sprowadza niemal zawsze śmierć nieuchronną.

Fallinę zawiera szczególnie obficie *muchomor bulwiasty zielonkarowy* (*Amanita phalloides*), znany już zresztą w Polsce dość dobrze pod nazwą popularną „śmierć leśna”. Grzyby te, małe lub zbyt duża zagrzebane w piasku lub mchu, luczająco przypominają powszechnie u nas zbieraną późną jesienią zielonkę, zwaną również zieleniatką lub gąską zieloną. I właśnie jesienią najliczniej w Polsce padają ludzie ofiarą zatrucia grzybami.

Muchomor bulwiasty, jak mówi nazwa, posiada przyziemny koniec trzona w postaci wybitnej bulwy; poza tem jest ona otoczona mniej lub więcej do trzona przylegającą cienką, białą, na kształt korony kwiatu powycimaną błoną. Rzecz teraz jasna, że, przycinając grzyby przy ziemi, nigdy prawie nie dojrzymy ani owej bulwy, ani owej błony, jakie kryją się zwyczajnie już w wierzchniej warstwie podłoża. Postępując zaś racjonalnie, t. j. wykręcając grzyb w całości, zobaczymy wyraźnie na końcu trzona bulwę i błonę, a tem samem już uchronimy się od śmierci. Pamiętać bowiem trzeba, że ani pieczarka polna, ani zielonka śladu nawet owej bulwy czy błony nie posiadają; poza tem trzeba wiedzieć, że każdy muchomor ma blaszki pod kapeluszem zawsze czysto białe, gdy pieczarka ma, jak wiadomo, blaszki zrazu różowe, później liljowe, wreszcie czekoladowe a nawet czarne, zielonka zaś niezmiennie zielonawo-żółtawe.

Pozostają jeszcze liczne trujące *gołąbki*, zwane również *syrojeszkami* i *mleczajami*. Mleczajami zwieemy te grzyby blaszkowate, które przy skałczeniu wypuszczają mniej lub więcej obficie mleczko, rozmaicie zabarwione. Mleczajem takim jest rydz o mleczku czerwonym, słodkim. Jego sobowtór trujący to rydz koński, czyli wełnianka lub bawełnianka, o mleczku białym, piekącym. Tu zwracam uwagę wyraźnie, że wełnianki górskie, nie posiadają charakterystycznych włosków na brzegu kapelusza, są wprost identyczne z rydzem jadalnym; baczność więc na barwę i smak mleczka! Wyliczać tu trujących gołąbków i mleczajów nie sposób; należy jedynie zapamiętać, że przy zbieraniu gołąbków i mleczajów obowiązuje zawsze zasada próbowania ich smaku zaraz po zerwaniu. Zasada ta ogólna i pewna dla użytkowania obu tych rodzajów grzybów, brzmi: wszelkie mleczaje i gołąbki o smaku gorzkim, piekącym od razu lub dopiero po chwili, są trujące lub niebezpieczne; przeciwnie: wszelkie mleczaje i gołąbki, o smaku zupełnie łagodnym są najzupełniej nieszkodliwe.

Wreszcie wspomnieć tu należy o tak nielitościwie w całej Polsce kopanych butem *purchawkach!* Ależ, na miłość Boską, toć to grzyby jadalne i odżywcze, o wiele wartościowsze od borowika i znacznie odcień smaczniejsze! Wszystkie, wszystkie purchawki! i te kraglutki z pastwisk i łąk, i te białe, najeżone perłkami, kształtu jak gdyby flaszki przewróconej, a tak w lasach szpilkowych pospolite! I te żółtawe czy szare lub brunatne, również koleczaste, na pniach i pod niemi, i te jak dwie pięście grubaśne po leśnych polanach, i te wreszcie olbrzymy, jak głowa ludzka i nieraz większe od niej, niestety zbyt rzadko na skrajach wilgotnych lasów i zacisznych łąk podleśnych się pojawiające. Te ostatnie zwłaszcza są najsmaczniejsze; toć prawdziwa z nich uczta bogów, a tak obfita, że nieraz jedna taka purchawka na kilkanaście osób wy-

KONFITURY



573

KALENDARZ DOBREJ GOSPODYNII...

L A T O.

Poziomki, truskawki, róże, czereśnie, maliny, agrest, porzeczki, morele, wiśnie.

Robić konfitury i soki—słodkie, mocne, trwale i dużo.

Musi starczyć na cały rok.

Śpizarnia, puste słoje i butelki czekają.

Przypominamy o sezonie smażenia konfitur, soków, kompotów z truskawek, czereśni, poziomek, róż, agrestu, malin, porzeczek, moreli, wiesien i t. p.

starcza! Oczywiście wszelkie purchawki smaczne są, dopóki, dojrzewając, nie zmiękną i wewnątrz nie pociemnieją; ale i wtedy nie są one trujące. Z proszku całkiem dojrzałych purchawek robią we Francji smaczne sosy i zupy.

Lecz — baczność! jedna, jedyna z purchawek, zbierana wciąż jeszcze w Polsce pod mianem trufli, to grzyb śmiertelnie trujący! Dwie całe takie purchawki, zjedzone na raz, zabijają człowieka po 3 do 4 tygodniowej męce. Jadane, jak zwykle trufle, to jest w kilku plasterkach zaledwo na duży półmisek, jedynie na smak, nie szkodzą doraźnie. Ale spożywane w ten sposób częściej zatrują zwolna, niepoznanym dotąd przez naukę jadem, cały system nerwowy człowieka. Amatorowie tych pseudo-trufli wpadają zwolna w dziwny rozstrój nerwowy: obawiać się poczynają pustych przestrzeni, pustych pokojów, wreszcie nocy i snu, aż wreszcie kończą najczęściej samobójstwem. — A zatem baczność! pamiętać należy, że trufla każda to grzyb *podziemny*, wykazujący poza tem w płaszczyźnie przekroju wyraźne żyłki, jakby w marmurze. Jedyna trująca purchawka natomiast, t. zw. *tęgoskór pospolity* lub *purchawka ziemniaczana*, to nader pospolity grzyb *naziemny*, o grubej jasnej łupie i wewnątrz z mnóstwem drobniutkich białawych punkcików w przekroju.

Prof. Feliks Teodorowicz.

JESZCZE O GOŚCINNOŚCI

Gościnność słowiańska, a w szczególności gościnność polska, nie zna granic. Wszystkie narody europejskie uznają oczywiście zalety gościnności, tylko każdy z nich rozumie ją i traktuje zależnie od swoich tradycji, przyzwyczajzeń i temperamentu. Średnio zamowny Anglik ma w swoim mieszkaniu i to nietylko na wsi, lecz często i w mieście, pokój, specjalnie przygotowany na przyjęcie gości i chętnie tych gości u siebie widzi. Sympatycznych mu znajomych zaprasza

na wieś, na tak zwany Week-End, czyli od soboty popołudniu do poniedziałku rano; przyjaciół i krewnych nieraz gości całymi tygodniami. Jednak w tej gościnności są pewne, konieczne z punktu jego widzenia, ograniczenia. Gość przybywa na wyraźne zaproszenie, w dokładnie określony dzień, na zupełnie określony przeciąg czasu. Gość podziela codzienny sposób życia swego gospodarza; o ile chce, pracuje z nim nawet w ogrodzie, korzysta z jego biblioteki i fortepjanu, spędza z gospodarzami wolne od ich zajęć chwile na rozmowie, muzyce i uprawianiu sportów, lecz niezem swoją obecnością ani gospodarzy nie krępuje, ani ich od zajęć codziennych nie odrywa. Nawet formułka zaproszeniowa brzmi: „come to stay with us”. (Proszę przybyć, aby pobyc, pomieszkać z nami). Jeżeli zachodzą jakieś zmiany w jadłospisie, to chyba co do poszczególnych dań, lecz nigdy co do ich ilości, jakości, ani stale przyjętych godzin posiłku. Cudzoziemiec prawie nigdy nie trafi do takiego angielskiego domu, chyba, że jest z nim w jakiś sposób spokrewniony lub skoligacony.

Gościnność francuska jest inna. Sądząc ze współczesnych opisów, ginie tam coraz bardziej sławne „vie au château”, tak do życia w naszych gościnnych, kresowych dworach podobne. Bogata — często żydowska — burżuazja urządza wspaniałe polowania, połączone ze wspanialszemi jeszcze przyjęciami, w najwspanialej odnowionych siedzibach dawnej arystokracji, przez próżność zapraszając na nie zbiedniałych potomków tejże arystokracji. Lecz to nie jest szczerą, serdeczną gościnność, to raczej jej parodia. W miastach rodziny francuskie wszelkie zaproszenia — czy to na obiady, czy na wieczorne lub popołudniowe przyjęcia — nazywają „faire une politesse”, lub „rendre une politesse”. Te nazwy mówią same za siebie. W każdym przyjęciu gra rolę interes, mniej lub więcej określony, wyraźny — korzyść, nie koniecznie jutro lecz w dalszej przyszłości, dająca się z tego wysiłku gościnności wyciągnąć. O tem, żeby kogoś, jak u nas, serdecznie przyjmować, gościć, częstować, li tylko dla tego, że przez próg domu naszego przestąpił, nie mają tam pojęcia.

Nasi praktyczni sąsiedzi, czesi, którzy jednak pod względem kultury towarzyskiej dużo wzięli od Niemców, podobno większą część stosunków towarzyskich przenieśli na teren restauracyjno-kawiarniany, i życie klasy średniej toczy się w kole ściśle rodzinnem. O ich nauczycielach-niemcach oczywiście nie będę nawet wspominała. Ich gusta, przyzwyczajenia, sympatje i obyczaje towarzyskie są tak różne od naszych, że, dzięki Bogu, nikt z nas wzorować się na nich nie będzie.

Najbardziej zbliżony tryb życia do naszego, polskiego, miała dawna, przedrewolucyjna Rosja. Mówię tu, oczywiście, o klasie ziemiańskiej i wyższej warstwie urzędniczej i wojskowej, z tej klasy się rekrutującej, z którą wyrzutki społeczeństwa, do nas, jako urzędnicy przysyłane, nie wspólnego nie miały. Tam gościnność też była serdeczna, szczerą i także nieograniczona. I właśnie przeciwko tej nieograniczonej gościnności — sama będąc całym sercem i duszą gościnną — chcę słów kilka powiedzieć.

Czy w czasach dzisiejszych, kiedy każdy, bodaj najzamożniejszy człowiek, ma masę obowiązków społecznych i pracy zawodowej, dom jego może stać rok cały otworem dla gości, którzy bez zawiadomienia mogą doń zajeżdżać na czas nieograniczony? A jednak to niezawiadomienie i ta nieokreśloność czasu, na jaki goście zjeżdżają, jest dla naszych stosunków bardzo



578

charakterystyczna. „Nie chcę pisać do nich, że przyjedziemy, żeby nie robili niepotrzebnych przygotowań”. Telegram przychodzi w ostatniej chwili i albo wszystkie pokoje gościnne są zajęte, albo trzeba je przygotowywać na łeb, na szyję. Albo jest już w domu tyle gości, że brak miejsca przy stole, albo posłaniec pędzi do miasteczka po świeże mięso czy wino. Czy nie lepiej byłoby zgóry się umówić, skomunikować o dniu odwiedzin, ilości osób przyjeżdżających, długości pobytu? Czy nie lepiej byłoby, aby niespodziani goście zjedli krupniczek na wędzonce, budyń z kalafiorów i naleśniki z jabłkami, które właśnie w dniu tym były na obiad, zamiast narażać gospodarzy na odrywanie konia i człowieka od żniw?

A w mieście poza dniem przyjęć, który już na szczęście wszedł wszędzie w użycie, czy nie należałoby, jakoś uregulować odwiedzin tych bliskich przyjaciół — głównie przyjaciółek i kuzynek — co to nie lubią do mnie przychodzić, gdy są goście, chcąc ze mną poufnie porozmawiać. — Doskonale, ale na taką pogawędkę należy czas telefonicznie lub przy widzeniu omówić, a nie spadać na parę godzin, niespodzianie, kiedy właśnie jest jakieś pilne zajęcie, jakaś praca terminowa, którą, w imię świętych praw gościnności, zrezygnowana gospodyni przerwie i często zupełnie poświęcić musi.

Czy nie czas najwyższy byłoby przystąpić do rewizji tych, obowiązujących nas dotychczas, praw gościnności?
Pani Elżbieta.

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(na 5 osób).

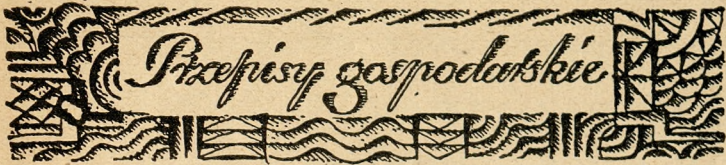
Rosół z baraniny ze świeżą kapustą.
Pław z ryżem.
Kisielek „crème brûlée”.

Kilo i ćwierć tłustej baraniny od mostku lub górki nastawić w dwóch litrach wody z włoszczyzną i korzeniami. Gdy już jest miękka, wyjąć i odlać dwie szklanki najtłustszego rosółu. Główkę kapusty, sparzoną wrzątkiem, pokrajać na pięć części, włożyć w rosół i gotować; gdy nawpół miękka, włożyć 60 deka kartofli, pokrajanych w kostkę, i dogotować razem.

Ćwierć kilo ryżu sparzyć wrzątkiem, odlać, włożyć do rondla, zalać tłustym rosółem z baraniny, upiec w piecyku lub udusić na wolnym ogniu. W ogniotrwałej foremce układać rzędami ryż i pokrajaną na nieduże kawałki baraniny. Ostatni powinien być z ryżu. Posypać tartą buleczką z ostrym serem i wstawić na kwadrans w gorący piec. Podawać w tem samym naczyniu.

Trzy szklanki mleka zagotować, ocukrzyć do smaku (oko-

lo 10 deka cukru). Pięć deka cukru zrumienić na karmel, rozprowadzić filiżanką wody, zagotować, dodać ten karmel do mleka. Filiżankę mąki kartoflanej rozprowadzić filiżanką wody, osolić dobrze, dolać do mleka, wybijać mocno łyżką aż się zagotuje. Przelać do foremki, wylanej zimną wodą. Zastudzić dobrze. Przed podaniem wyłożyć na półmisek. *Pani Elżbieta.*



DIETETYCZNA POTRAWA Z JABŁEK.

Ta potrawa jest specjalnie zalecana, jako śniadanie dla dzieci i dla osób chorych na złą przemianę materji. Autorka książki, z której ją zaczerpnęłam, dodaje: i dla osób, które chcą pozostać zdrowe. Ile osób, tyle dużych jabłek, tyle łyżek utartych orzechów włoskich, laskowych lub migdałów słodkich; tyleż łyżek płatków owsianych, namoczonych na 12 godzin przed użyciem, każda w trzech łyżkach wody, tyleż łyżek skondensowanego, ocukrzonego mleka i tyleż razy soli, poza tem pół cytryny. Zaczyna się od zmieszania skondensowanego mleka z cytrynowym sokiem, poczem dodaje płatków owsianych. Jabłko dobrze umyte, wraz ze skórką i ziarnkami trze się na tarce do jarzyn i prędko mięsza z resztą masy, aby nie szerniały. Na talerzu posypuje się tę masę tartymi orzechami. Mleko skondensowane można zastąpić dobrym miodem, co według mnie jest znacznie smaczniejsze.

ZRAZY KARTOFLANE

Kilo kartofli już obranych ugotować na parze. Przepuścić przez maszynkę, dodać sporą cebulę, drobno pokrajaną i usmażoną w łyżce masła, trzy łyżki mąki pszennej lub drobno tartej bułeczki, wbić dwa jaja, osolić do smaku, popieprzyć białym pieprzem, wyrobić masę doskonale, podzielić na dziesięć części. Pięć deka młodych grzybów suszonych ugotować w trzech

**Willa „Maciejka“
w Orłowie
nad morzem**

Wykwintna i obfita kuchnia.

Pensjonat otwarty we wrześniu.

Ceny niższe niż w sezonie.

szklankach wody. Usiekać drobno, przesmażyć z drobno usiekaną cebulą, wsypać łyżkę mąki, zasmażyć razem, wlać pół szklanki smaku z grzybków, zagotować, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć. Z masy kartoflanej robić cienkie placki, nadziewać grzybowym farszem, formować podłużne zrazy. Utrzeć w tartej bułeczce, zrumienić w obfitym smalcu. Do zrazów tych daje się sos następujący. łyżkę masła zasmażyć z łyżką mąki, rozprowadzić dwiema szklankami smaku od grzybów, zagotować, zaprawić półkwatkiem kwaśnej śmietany; zagotować raz jeszcze. Sos podaje się w oddzielnej sosjerce.

PIECZEŃ BARANIA, NADZIEWANA.

Sześćdziesiąt deka baraniny i dziesięć deka baraniego łoju przepuścić dwa razy przez maszynkę, po raz drugi dodając trzy bułeczki, warszawianki, wymoczone w wodzie i dobrze odcisnięte. Dodać sporą cebulę, utartą na tarce i przesmażoną w łyżce masła, jajko całe, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć (tylko dla amatorów), wyrobić masę doskonale, uformować z niej cienki placek. Kilka grzybów prawdziwych obgotować w osolonej wodzie. Parę jaj ugotować na twardo. Dziesięć deka wędzonej słoninki pokrajać w pasy. Dwa ogórki kiszzone obrać i pokrajać w pasy; wszystkie te dodatki rzędami układać na baraninie. Zwinąć mocno rulon. Obsypać pieczeń mąką. Zrumienić ze wszystkich stron na maśle lub smalcu, wsunąć w piec na pół godziny. Na dopieczeniu polać śmietaną. Podawać pokrajaną na ładne plastry z sosem, który się uformuje przy pieczeniu. Gdyby sosu było za mało, podlać rosółu i zagotować razem. Purée kartoflane lub buraczki duszone są odpowiednim dodatkiem do tej pieczeni.

PREMJE KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

Na drugie półrocze zakupiliśmy dla naszych Czytelniczek sześć wartościowych i ciekawych książek z zakresu beletrystyki, estetycznie wydanych na wykwintnym papierze, a mianowicie:

na miesiąc

- lipiec — *Karin Michaelis*: „GUNHILD“
- sierpień — *Karin Michaelis*: „PIERWSZA MIŁOŚĆ GUNHILDY“
- wrzesień — *Donn Byrne*: „OPOWIEŚĆ BEZ NAZWY“
- październik — *André Maurois*: „KLIMATY“
- listopad — *Piotr Benoit*: „AKSELA“
- grudzień — *Zuzanna Normand*: „GALERNICZKI“

Książki te po wyjątkowo niskiej cenie będą przesyłane tylko prenumeratorkom „Bluszczu“, po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700. dodatkowo do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

SUFLET Z ORZECHÓW ŁASKOWYCH.

Dziesięć deka orzechów łaskowych, już wyluskanych, wstawić na kilka minut do gorącego pieca, aby się lekko zrumieniły i wewnętrzna, cienka łuszczyka z nich opadła. Przepuścić je przez maszynkę. Piętnaście deka cukru utrzeć do białości z trzema żółtkami, dodać trzy łyżki tartej bułeczki, utarte orzechy, filiżankę słodkiej śmietanki lub dobrego mleka. Ucierać razem, aż się wszystko zmasuje. Dodać białka, ubite na sztywną pianę. Ułożyć w kopule na ogniotrwałym półmisku lub w takiejże foremce i wstawić do umiarkowanego gorącego pieca na dwadzieścia minut. Gdy ładnie urosnie i zrumieni się, podawać. Oddzielnie do tego zimna śmietanka lub mleko.

KREMOWA LEGUMINA.

Dwa żółtka utrzeć z pół szklanką cukru. Szklankę mleka zagotować z całowym kawałkiem wanilii, zaprawić utartym żółtkiem, mięszać mocno łyżką, aż płyn zacznie gęstnieć, uważając, aby się nie zagotował, gdyż żółtka się zwarzą.

Na salaterce kryształowej ułożyć kilkanaście makaroników, zalać je tym waniljowym sosem i wynieść na chłód. Przed samym podaniem ubić krem ze szklanki młodej śmietany, osłodzić dwiema łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią. Ułożyć ten krem na makaronikach i ubrać osączonymi z syropu konfiturami.

SYROP JEŻYNOWY.

Może w zupełności zastąpić syrop wiśniowy. Dojrzałe jeżyny zalać dokładnie zimną wodą, aby objęło, i gotować kwadrans. Przepędzić przez flanelowy worek i wycisnąć. Na trzy szklanki tego soku brać pół kilo cukru. Wlać sok w miedniczkę, zagotować, wsypać cukier, wrzucić kilka oczyszczonych ziarenek z pestek śliwkowych. Smażyć, dobrze szumując. Po kwadransie odrzucić śliwkowe pestki, które już dały dosyć zapachu. Gdy się syrop ładnie sklaruje, zdjąć z ognia i ostudzić. Zimny zlewać do niedużych buteleczek. Zakorkować. Korki zalać parafiną i przechowywać w suchej szpiżarni.

Pani Elżbieta.

Prawie więcej jeszcze niż cera

wymagają regularnej pielęgnacji włosy. Jeżeli mają one posiadać urok świeżości i połysku, to proszę je myć jeden raz na tydzień szamponem CZARNOGŁÓWKA-EXTRA (jasnym albo ciemnym) i spłukać następnie PROSZKIEM DLA POŁYSKU WŁOSÓW, dołączonym bezpłatnie do każdej torebki! Środek ten odświeża i wzmacnia włos, nadając mu cudowną elastyczność i naturalny piękny połysk! Cena 60 groszy.



Czarnogłówka-Extra

JASNY • SZAMPON Z POŁYSKIEM DLA WŁOSÓW CIEMNY

Jednakże do szybkiego odświeżenia włosów zawsze tylko: SHAMPOON CZARNOGŁÓWKA-SUCHY — w ośmiokątnym pudełku. (2 gatunki: neutralny i specjalny dla ciemnych włosów.)

Wszędzie do nabycia, gdzie niema, wprost: APTEKARZ DRANCZ I SKA., BIELSKO. WYRÓB KRAJOWY.

555

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9. — Tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Bata

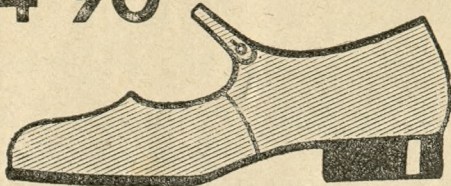
8·90



Fason 2651-05

Wygodny dziecięcy pantofelek z boksu lub lakieru na miękkiej skórzanej podeszwie i niskim obcasie.

14·90



Fason 2642-05

Praktyczne pantofelki z brązowego boksu. Bardzo wygodne i trwałe. Odpowiednie do codziennego użytku i na niedziele.

16·90



Fason 3672-27

Dla chłopców do szkoły te sznurowane buciki z czarnego boksu cielęcego. Mocna podeszwa, gumowy obcas. V 31 Po.

890

**Każda z pań powinna
nabyć książkę**

Dr. Julji Świtalskiej

p. t.

**PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE
W ŻYCIU KOBIETY**

**(HIGJENA
KOSMETYCZNA)**

Nieocenionej wartości zbiór najważniejszych wiadomości z zakresu higieny kobiecej. Nauka masażu twarzy i biustu.

Cena 5 zł.

z przesyłką pocztową 5 zł 50 gr

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.
Tow. Wydawn. „BLUSZCZ” — Warszawa,
Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. Nr. 13.555.

**Miłośniczkom
kaktusów**

polecamy zeszyt
wydawnictwa

ŻYCIE PRAKTYCZNE

p. t.

**HODOWLA
KAKTUSÓW**

zawierający wskazówki
umiejętnego pielęgnowania
egzotycznych roślin.

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysyła Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa
Plac Zamkowy 9.
Konto P.K.O. Nr. 13.555.



Najlepiej
konserwujcie
zęby

**KALODENS, ELIXIRY
PROSZEK DO ZĘBÓW**

WYROBU LABOR. CHEM. FARM. APTEKI

Dr. Malinowskiego

ul. Chmielna 4, w WARSZAWIE, ul. Nowy Świat 31 538

Doboru potraw
obrych wskazówek
okładnych przepisów
ostarczy każdej pani

DOSKONAŁA KUCHNIA

najnowsza książka kucharska

(szóste przerobione i uzupełnione wydanie
„Kucharki szlacheckiej”)

M. MARCISZEWSKIEJ

Zawiera 3000 przepisów, od skromnych do najwykwintniejszych, może więc zadowolnić każdego.

**Wytworne wydanie! Dobór ilustracji!
1000 stron druku!**

Cena z przesyłką 14 zł.

Wysła Tow. Wyd. „Bluszcz”—Warszawa; Pl. Zamkowy 9,
po otrzymaniu należności. Konto P.K.O. Nr. 13.555.

NOWA KSIĄŻKA DLA DZIECI!

Kazimiera Mazurkówna

DUSZA DOMU

Powieść dla dzieci. Okładka i ilustracje J. Bobińskiej-Paszkowskiej.

W kartonowej oprawie.

Książka ta, dostępna dla dzieci od lat 7-miu, odznacza się zarówno artystycznymi, jak pedagogicznymi wartościami. Uczy ona kochać nie tylko mgliste, mętnie sformułowane pojęcie domu, ale każdy w nim najdrobniejszy szczegół. Fantastyczno-baśniowa strona tej powieści, osnuta na wnikliwym dociekaniu małego chłopca i jego siostrzyczki, przykuwa zainteresowanie dzieci i dorosłych. Skrzynka do listów, Ludź kapuściany, duszek kwiatowy, stara szafa, „stołkowe dzieci” ożywają w wy-

obraźni małych czytelników i wplatają się w realistyczną akcję w sposób nacechowany głębokim sentymentem i humorem.

Podczas gdy zazwyczaj książkowy świat fantazji niczym bezpośrednio nie jest związany z codziennym życiem dziecka, w książce Mazurkowej tworzy on z nim całość nierozdzielalną i atrakcyjną. Książka ta, poza przyjemnością dla dzieci, niewątpliwie i rodzicom wiele ciekawych psychologicznych refleksyj.

Cena 5 zł.

Z przes. poczt. 5 zł. 50 gr.

Zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”—Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P.K.O. 13.555. **ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.**